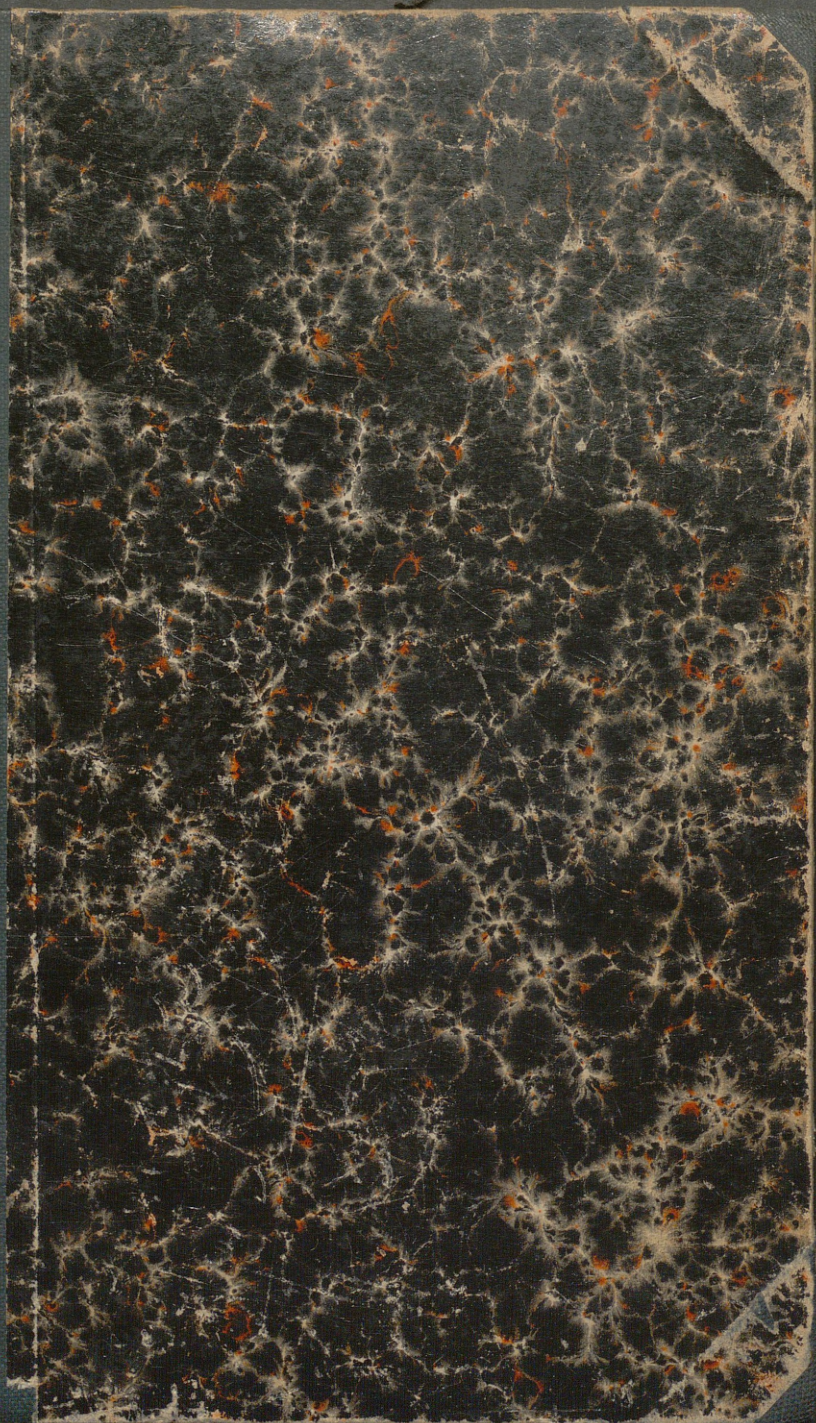
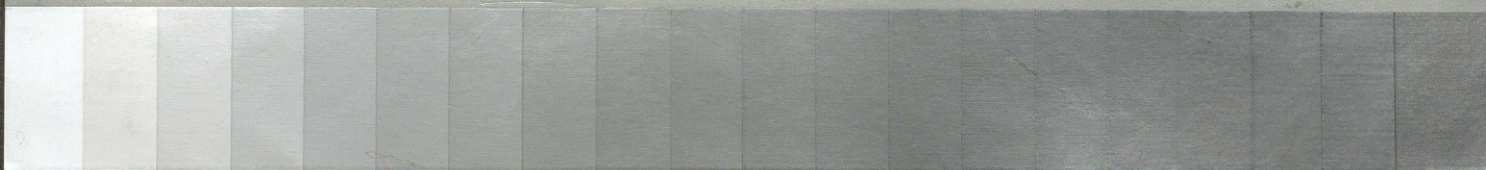


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





Klasyf.

Sygnatura

1

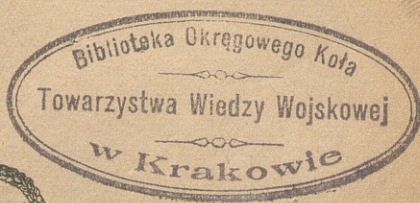
37

221

JAN ŻYZNOWSKI

KRWAWY STRZĘP

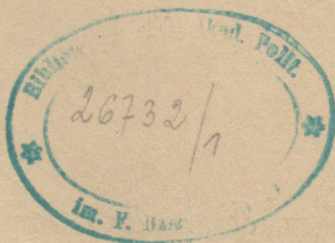
(WSPOMNIENIA BAJOŃCZYKA)



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

355 (92)

2219 / II



Zakłady Graficzne „Nasza Drukarnia” w Warszawie.

W Paryżu

W sierpniu 1914 roku, kiedy na pogodne niebo Francji zwlokły się ze wschodu ciężkie chmury—treść beztroskiego życia Francuza zmieniała się do gruntu. Na rogach ulic tłumy ludzi, związanych z jednej strony umiłowaniem ojczyzny, z drugiej—lękiem o całość i byt jej, myślą najmniejszą, krwi uderzeniem serdecznem przywarli do siebie, sprzęgli się w jedną oporną całość, w jeden wspólny byt niezłomny.

Ciężka, dawno nie goszcząca we Francji, powaga zawisła w powietrzu, skierowała myśl i oczy w stronę granic ziemi ojczystej, nieraz już trupami zasłanej, zawsze zwycięsko bronionej, pamiętającej krzywdy i rany serdeczne.

A było to w pierwszą upalną noc sierpniową, kiedy ulicami Paryża, drogami, a nawet na przełaj przez wszystkie pola Francji, nie omijając żadnego serca człowieczego, pędziło groźne zwiastowanie z rozradowanych głośno ust — śmiech spędzające, kładąc na pogodne ócz patrzenie — cień, każąc myślom skupienie i wolę budząc żelazną, nieustępliwą.

Od rowów granicznych aż poza grzbiety wspinających się fal morskich zawisło w powietrzu, do ziemi przywarło bezmierne, spiżowe czekanie.

Aż dnia trzeciego uderzyło weń wyzwanie, niby obcy młot żelazny w szlachetny metal dzwonu.

Zdawało się wówczas iż oto rozkołysała się cała ziemia i poczęła bić, bić z całej mocy w mi-

liony serc, nagle przetopionych w jedno olbrzymie serce Francji.

Zbudziła się Francja

Na wydarte z pieśni wezwanie: „Aux armes“! zbiegli się wszyscy, niby po wielką nagrodę, malując w wyobraźni piękne obrazy jutrzejszych zwycięstw.

Jutro zwycięskie, jutro poprzez krew, po przez radosnych ofiar zastępy, jutro!

Z Marsyljanki śpiewem na ustach, zmęczeni, spoczeni, ciągnęli ulicami Paryża, zostawiając wszystkie wygody i radości życia w pokoju, w niepamięci—pomni tylko wielkiego jutra.

A byli w pochodzie swoim tak potężni, tak rozkazni, iż kładłbyś w niemym zachwycie przed ich nogami, jak kwiaty wszystko twoje życie, że chętnie tu zaraz na ulicach Paryża, poniosłbyś dla nich największą ofiarę, by stwierdzić, że z krwi jesteś, żeś się cały, jak oni sercem stał i że jak oni mścić pójdziesz skrzywdzone sponiewierane umiłowanie twoje.

Ostatnie przeszły czwórki, ciemny granat ich szynelów rozpyływał się w dymie i mgłę długiej ulicy Paryża. W krtani tysiąca niedostrzeganych Polaków kamieniał niby krzyk buntu, okrzyk: Jesteśmy

Ciężkie pytanie wślaczało się do polskiej piersi: Dokąd pójść, w którą stronę, nagle poczuciem wielkiej mocy nabrzmiałe ramię zwrócić, jakim głosem krzyknąć, by świat usłyszał; Że Polska jest że każdy z synów gotów bronić jej granic wszystkim życiem swoim.

Ta świadomość istnienia, istnienia, w owej chwili, nadmiernego nie dawała, ani chwili spokoju, kazała skamlać o powierzenie garstce Polaków najbardziej niebezpieczniejszej, najniższej posługi, byle by tylko być i móc czymś ponad wszelką ludzką mocność porazić wrogów i zadziwić przyjaciół.

Żadnemu Polakowi, który był we Francji w czasie wybuchu wojny, nie obcem było to uczucie, nie posiadania ani ziemi pod stopami, ani nieba nad głową.

Na tle precudnych chwil zrywania się narodowego ducha Francji do czynu, garstka Polaków, odrzucona, jakby poza nawias wszelkiej treści ówczesnego życia, oderwana od ziemi, na której panoszył się wróg, której groził wróg, nie mogła obojętnie patrzeć na naród, co go bitewne z polskim wiązały tradycje, spajało jednakie zawsze pragnienie wolności, a który ginąć szedł w obronie własnej ziemi.

Nie chwytając się tej, lub innej polityki, wszelkich politycznych ważeń, lub odmierzania, garść Polaków, goszcząca we Francji, z całym swoim odwiecznym dla Francji sentymentem, kryjąc, może nawet zapominając, swe, podczas niewoli, urazy, już w pierwszych dniach wojny zwróciła się do rządu francuskiego z prośbą przyjęcia ich do szeregów francuskich.

Dn. 21 sierpnia 1914 roku — po dekrete ministra wojny, zezwalającym na przyjmowanie cudzoziemców do armji francuskiej, kilkuset Polaków podpisało dobrowolne zobowiązanie służenia Francji podczas wojny.

Z naprędce zrobionym sztandarem z „Jeszcze Polska nie zginęła“ na ustach — ochotnicy polscy, jako prawni już żołnierze Rzeczypospolitej Francuskiej czwórkami w bojowym porządku przeszli przez Paryż, witani przyjaznem: „Vive la Pologne! Vive les volontaires!

Jako oddzielna grupa wojskowa, ochotnicy polscy odrazu zostali wcieleni do 1-go pułku cudzoziemskiego — części składowej Legji Cudzoziemskiej.

W upalną niedzielę sierpniową dnia 22 sierpnia, długim towarowym pociągiem ze stacji Ivry w Paryżu — wyjeżdżało wojsko polskie, tak się sa-

ma nazywała garstka polskich ochotników — do Bayonny

Dziwne było to wojsko polskie we Francji!

Wojsko polskie?! Niespełna tysiąc ludzi o różnym poziomie umysłowym, o przeróżnych, nagle pogrzebanych, podprzekonaniach politycznych, częścią wywiezionych z Polski, częścią dopełnionych przez socjalistów, lub monarchistów francuskich. Doktorzy, malarze, hrabiowie artyści, adwokaci, poeci, krawcy, dwóch kucharzów, rozpustnicy, skromnisie, ateści, a nadewszystko studenci — słowem ci wszyscy, których wielka wojna europejska na paryskim zastała bruku i którzy ku niej radośnie pobiegli.

Wyjazd

O 11-ej przed południem odjazd. Jeszcze kilkanaście minut na pożegnanie, na rzucenie słów otuchy, prośby o pamięć na łzy kobiece, pocałunki, polecenia.

Na uboczu, pod wysokim, odrapanym murem poprzez łzawy męt w krtani:

— Sama... Tak smutno, obco tutaj... Tadzio we Lwowie.. W Warszawie... Będiesz pisał?

— Tak! — krótkie, dalekie od myśli przyrzeczenie.

— Boję się... Nie, mógłbyś mieć urazę potem całe życie.

— Cicho Hal..., no już, no cii..

Serce za myślą biegnie, błąka się i wraca bardziej niespokojne — Wrócisz? — niepewne, lękliwe, a po chwili z bezbrzeżną, nie chcącą myśli złej dopuścić prośbą — Wróć!

Błyszczące od łez oczy czekają jakiejś nie-ludzkiej obietnicy.

— Będę się modliła.

— Il faut tuer beaucoup des Boches! — zapisał głos młodej kobiety.

— Jedź, pójde już!
— Zostań chwilę, jeszcze nie jedziemy!
— Nie, pójde na most, zobaczę cię jeszcze...—
ujęła jego rękę, przywarła ustami — na rękę spły-
nęły duże czyste łzy.

— Ha! ludzie patrzą!
— Jedź! rzuciła szybko i zginęła w tłumie.
Przez otwartą bramę widać długie podwórze,
w głębi szereg towarowych wagonów.

— Partons! Depechez vous! — naglił czyjś głos.
Rozległ się świst ostry, zagłuszający wszystkie
okrzyki i ostatnie słowa pożegnań. W jednej
chwili wagony zostały wypełnione, przepełnione,
a nawet zzewnątrz oblepione.

Po ciężkiem sapnięciu i przystęku parowozu,
jęcząc powlokły się niechętnie, leniwe wagony, niby
zgraja opasłych bachorów, ciągnionych ręką matki
naprzód

Przejeżdżając pod mostem, wychyliłem się.

Oparta o poręcz mostu, zamajaczyła mi zna-
joma sylweta młodej kobiety.

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Zaledwie
po godzinie trzęsienia oddaliliśmy się natyle, że
zblękitniałe, jakby przezroczyste sylwety domów
i wież kościelnych Paryża rozpląnęły się w gę-
stwie rozpylonych promieni słonecznych i gorąca.
Sacre Coeur tylko na wzgórzu Montmartre'u, niby
obłok przejasny konturem fioletowym obwiedziony,
ukazywał się jeszcze, ale już tylko na mgnienie powiek
coraz bardziej przezroczysty aż zupełnie wzrokiem
nieuchwytny.

Po trzydziestu ośmiu godzinach jazdy nieskoń-
czenie długim towarowym pociągiem, objedzeni rzą-
dową kielbasą, serem, i sardynkami, prywatnemi

śliwkami, opici mlekiem i winem czerwonym, stanęliśmy w Bayonnie.

Powitani i prowadzeni przez kilku oficerów, wśród salw oklasków i serdecznych okrzyków na cześć polskich ochotników, przeszliśmy przez miasto, poczem weszliśmy w ciemną szeroką aleję.

Po godzinnym marszu zatrzymano nas, podzielono na dwie grupy po pięciuset i wprowadzono do zagrody Towarzystwa Strzelniczego w Montbrun, między Biarritz a Bayonną.

Długi drewniany barak, wypełniony świeżą słomą, jakaś umundurowana władza wskazała nam, jako miejsce noclegu. W pół godziny później z podłożoną pod głowę marynarką z wyciągniętymi i zmęczonemi, bo nieprzyzwyczajonemi do marszu nogami, ochotnicy polscy już spali. Głośnie chrapanie uderzało o suche deski ścian.

Bliskie fale szeptały otaczającej nas ciemni leśnej dziwne legendy.

W Montbrun

O godzinie ósmej rano ożywiła się cicha, otoczona wielkimi, starymi chojarami, zagroda w Montbrun. Do połowy rozebrani, nadstawiali wolontariusze swe plecy pod szeroki strumień wody, który wychlustywał z ręcznej pompy, ciężko postępującej we władzy silnych i trochę za gwałtownych rąk ochotników,

Tu i owdzie pod drzewem, albo wprost na piasku słońcem zalanym, ktoś się golił, lub czyścił nieco zmiętą garderobę.

Wygląd zewnętrzny był tu jeszcze wszystką miarą. Zależnie od wyglądu i stanu szat, które pono nie zdobią człowieka, sądziliśmy wartości, dopiero co poznanych kolegów.

Wśród moich znajomych, z którymi nie rozłączałem się na krok byli: Ksawery Dunikowski,

Stanisław Szejnkeller, Jerzy Kijewski i Jerzy Szuryg.

Pierwszy znakomity artysta rzeźbiarz, bez kapelusza, z długimi jasnymi włosami, był przedmiotem gapiostwa i wesołych uwag wszystkich. Drugi, który przyjechał „na wojnę“, jak mówił, i nic prócz ubrania na sobie, szczoteczki do zębów i.. pudełko z pudrem nie posiadał, był typem, nietyle z pod ciemnej, ile wielu wesołej gwiazdy.

Reszta wymienionych, najbliższych mi kolegów, niczem bardziej charakterystycznym się nie wyróżniała, chyba tylko modnym krojem ubrania.

O godzinie dziewiątej rano najbezpośredniejsza nasza władza, w osobie kaprała Haricot, oznajmiła nam, że o jedenastej będzie śniadanie. Czekaliśmy z niecierpliwością tej godziny, jako chwili atrakcji niezwyklej, pierwszej z życia wojennego, a jeśli nie wojennego, to wojskowego.

O godzinie dziesiątej i pół, czwórkami z niedawno otrzymanymi talerzami i łyżkami, oczywiście ze śpiewem wyszliśmy z zagrody.

Po dwudziestu minutach marszu doszliśmy do wilgotnej łąki, gdzie po półgodzinnem czekaniu w sposób nie bardzo smaczny zaspokojo naszą ciekawość, muszę powtórzyć tylko ciekawość.

Jacyś brudni ludzie przynieśli kilkanaście dużych naczyń z t. zw. „soupe“ — dlaczego soupe nie wiem dotychczas.

Zupa była zwyczajnym naparem na komarach, muchach, muszkach i t. p. owadach na łąkach i trzęsawiskach osiadłych i nad nimi fruwających. Jeść tego naparu było nie sposób, choćby dlatego, że nie można było z czystym sumieniem i nie wiem jak pustym żołądkiem zjadać częścią umarłe, częścią żywe jeszcze, acz dogorywające w strasznych mękach, jakieś nieznane mi z nazwy i obyczajów, ba-
jońskie owady.

„Soupe“ została wylaną na łąkę, co podwoiło, zwykłe tam panującą wilgoć.

Drugim daniem było mięso bez smaku, gotowane łyko nieustępliwie twarde, wojenne mięso nie do zgrzyzenia i nie do pokrajania... łyżką.

Po „śniadaniu“ poszliśmy do Bayonny.

Po obnażonych głowach poznawano w nas wolontariuszów, dla których wszystko było otworem, wszystko za pół ceny.

Piękne Bayonki śniadolice i czarnookie wskazywały sobie wzajem ochotników lekkim trąceniem łokcia i szeptem „Voilà les volontaires polonais, regarde, comme ils sont gentills“.

Czego byśmy nie zrobili wówczas dla Francji, dla tych wszystkich, którzy nas szczerą witali serdecznością?!

Cały dzień spędziliśmy w stolicy Basków.

Późnym wieczorem wracaliśmy oddzielnymi grupami do naszych tymczasowych koszar. Zdaleka już dochodziły nas wesołe śpiewy kolegów.

Naprzeciwko baraków po drugiej stronie szerokiej drogi w małym murowanym domku mieściła się kawiarnia, gdzie później spędzaliśmy większość chwil wolnych i wszystkie wieczory.

Właścicielem owej kawiarni był gruby niski Bask, którego zastępowała, z głosem, we wszystkich sprawach, decydującym, córka jego, młoda przystojna, o nieznanem dla nas nazwisku — panna Wiktorja, przewana przez nas już pierwszego dnia Wiktorynką.

U niej spędziliśmy długi wieczór, pierwszy wieczór żołnierski, pełen beztroski, zapału i niezliczonych pytań bojowych zwróconych do naszej władzy w osobie jednego sierżanta i dwóch kapralów.

Po północy dopiero wróciliśmy do baraku.

Dzięki wyobraźni naszej, w której zupełnie nie zostawiliśmy miejsca na długie ćwiczenia, czekaliśmy wciąż na jakąś pobudkę, która nas zupełnie nieprzygotowanych, nawet jeszcze nieprzebranych, wezwie do walki.

Oczekiwanie to wyrobiło w nas pewną wojowniczość, wobec nieznajomych kolegów z braku rzeczywistego wroga.

Dla zadosyćczynienia nerwom i zagnała nagromadzonej energii urządzano wszelkiego rodzaju zapasy.

Pierwszego też dnia na słomie mocowano się, goniono, dokazywano, jak kiedyś w szkole podczas dużej przemiany.

Nazajutrz, już o godz. 6 zbudzono nas. Ustawiono podług wzrostu, podzielono na sekcye, poczem wyprowadzono nas na ćwiczenia. W drodze wszyscy bez wyjątku krzyczeli „gauche“ (lewa), by iść zgodnie w nogę

Staraliśmy się bardzo, jeden drugiego chciał prześcignąć w umiejętności wykonania pokazanego nam pół obrotu, lub obrotu.

Podczas ćwiczeń zdziwieni, usłyszeliśmy polskie objaśnienia do komendy francuskiej. Tym objaśniającym był L. Malcz, który kilkanaście miesięcy przebył w Legji Cudzoziemskiej. Jemu też, jako byłemu żołnierzowi francuskiemu, wkrótce dano niewielki oddział wolontaryszów do nauki.

Znajomością rzeczy wojskowych, dla nas pełnych niewyobrażalnych trudności, Malcz jako ex-żołnierz, stanął odrazu w oczach naszych na wysokości imponującej. Z powagą, pełną szacunku, pytaliśmy go o wszystko, tyczące armji, t. j. nawet o to, o czem on miał również słabe, jak my, pojęcie.

Ćwiczenia nasze ranne i popołudniowe odbywały się po domowemu bez żadnej dyscypliny, co prawda nie była ona potrzebna, staraliśmy się aż nado, by przekonać naszych kierowników o dobrej woli ich podwładnych.

Wypadkiem zgoła nieoczekiwanym, lecz przyjętym radośnie, był rozkaz wybrania z pośród gromady naszej kilku uświadomionych w sprawach

gastronomiczno-kulinarnych legjonistów, którzy by się zajęli kuchnią i przygotowywali dwa razy dziennie „soupe” dla ochotników. Wśród licznie zgłaszających się kandydatów na, od razu przez nas wybranych i przezwanych, „warzy soupów” byli tacy, którzy w cywilu mieli do czynienia z kuchnią, innym zaufano na słowo honoru.

Odtąd jadło nasze stało się znacznie smaczniejsze, mimo, że na dnie kotła z zupą było zawsze z półtora funta piasku lotnego, napędzonego do t. zw. „marmitéy” przez złośliwy wiatr.

Godziny nieprzedłużane żadną troską mijały szybko, na szerokiej polanie — miejscu naszych ćwiczeń, podczas odpoczynków, a głównie u kochanej Wiktorynki, która miała prawie zawsze na ustach ten południowy słoneczny uśmiech, którym obdarzała wszystkich ochotników bez wyjątku, co bardziej pewnych i noszących sławę Don-Juanów doprowadzało do rozpacz.

U Wiktorynki kończył się zazwyczaj nasz dzień, zawadzający częstokroć o piękne księżycowe noce. Długie cienie wielkich sosen, fantastycznie pokrzyżowana, wysrebrzona światłem księżyca ziemia, fale oceanu wczuwały do duszy polskiego ochotnika długie zamyślenia, tęsknoty wywlekające wszystkie myśli w strony, zdawało się na świecie najodleglejsze, bo sercu najbliższe.

Z tęsknotą, która często wyciskała tajoną łzę i wpychała ją wstydliwie w kąty ocz, łączyły się chwile beztroskiego oczekiwania dalszych wypadków. Dumy powieczorne wykwiwały zazwyczaj w pieśni smutnej, chórem odśpiewanej, polskiej pieśni, niby modlitwy, której echo niósł dobry, stary las, otaczający nasze ustronie, aż gdzieś nad ocean. A nocą, kiedy wymodliły się stare, wierzące drzewa, fale morskie zda się powtarzały, może tam kiedyś już słyszane „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Wiedzieliśmy, że w Montbrun długo nie pozostaniemy, przypuszczenie to jednak, jako nie-

miłe, odrzucaliśmy precz poza myśl. Tak było nam dobrze w Montbrun, tak pięknie stawało się w nas, jak piękną jest rozśpiewana, dalekiern zapatrzeniem, dusza ofiary na stopniach ołtarnych. Byliśmy sami — nie zgrzytnęło nic obcego w naszym ustroniu. Powoli jakiś krag niewidoczny obejmował nas wszystkich, zacieśniał się — tworząc zwolna coś tak bardzo jednego.

Miedzy nami, a najbliższą naszą władzą francuską był Malcz, od niego też po dwutygodniowym pobycie w Montbrun, dowiedzieliśmy się, że jutro, dnia 9 września przechodzimy na stałe do Bayonny.

Wieczorem zegnaliśmy Wiktorynkę, poprzez zwykły jej uśmiech oczy rozświeciły się, usta zadrgały i długi perłowy zsnurek zawisnął na policzkach.

Czego płakała, nikt nie wiedział. Może tej całej hałaśliwej beztroskiej gromady żałowała, że odchodzi, a może w tajemnych promieniach swego uśmiechu kryła szczęście miłości dla któregoś z kolegów, który jutra swego nie znał i nic obiecać nie mógł?

Wczesnym rankiem opuszczaliśmy Montbrun, dźwigając przywiezione z sobą rzeczy i ciężkie karabiny.

Szliśmy wesoło na nową kwaterę.

W Bayonnie

Za kilkunastoma skrętami, za tylomaż parkami, w napół wybudowanym gmachu, przeznaczonym na szkołę miejską, bez okien, drzwi i dachu, stłoczono naszą, obdartą już doszczętnie, gromadę.

Umyślnie użyłem tego słowa „stłoczono“, trudno bowiem opisać takie wydarzenie, zjawisko czy, już Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze — poprzedzone

takim mniej więcej rozkazem: „Proszę wejść do wewnątrz, rozpakować się i być gotowym do ćwiczeń popołudniowych!”

Gdy zobaczyłem to „wewnątrz” czubate od zakazanych, powykręcanych korpusów i na nich obsadzonych, czarnych, kędzierzawych łbów niezliczone szeregi, miałem wrażenie, że ktoś mi kazał wejść do pełnego kałamarza, tam się rozpakować i prędko zasnąć. Wrażenie to zresztą mieli wszyscy moi koledzy, którzy z początku myśleli: jak wejść i po co? — potem zadawali sobie pytanie: czy o ile się wejdzie jakimś tam cudem, do tego wnętrza czarnego i rojącego się, to po to, by tam zamieszkać. Zapytany przez któregoś z kolegów, sierżant odpowiedział:

— Ech ben, oui! Quoi?

Ta, bynajmniej nie dwuznaczna odpowiedź sierżanta, odrazu kazała nam szybkie postanowienie: owładnięcia gmachu siłą.

W otwór zapowiadający na przyszłość wejście z drzwiami, klamką i zamkiem, ruszyliśmy zwartą masą, krzycząc groźnie:

— Precz stąd!

— Słuszajcie, towarzysze! Towarisczi my także ruskijel

— W zęby bij!

— Oo tak, dokrzykiwano do każdego uderzenia.

— Na podwórze!

— Czto wy, czto wy, wy wagabondy nie towarzyszcil

— Mi tu wszistkie dla odnoj cieli!

Wypędzanie litwaków na świeże powietrze odbywało się szybko. Najpierw wylatywały kędzierzawe łby, potem odporne korpusy, po nich zaś w powietrzu już leciały nogi rozchwiane, walizy, kuferki, tobołki, słowem wszystko, co cuchnęło takim znajomym, lecz nie do zniesienia zapachem. W godzinę, po przymusowej eksmisji naszych lokatorów, ledwo nie doszło do powtórnej bijatyki

z powodu Maleza, którego jeden z „towariszczów“ obraził, oczywiście słowem.

— Eto nie Warszawa, gdzie wsie żołdacy, tu nima litwak, panie polak, tu równy...

Nie dokończył „żołdat nie litwak“ — musiał się obejrzeć w stronę, skąd mu przypomniano, że tu jednak nie wszyscy „towariszczi“ i że to z Warszawy jeszcze żyje między nami.

Skończyło się na tem, że nasi czarni „towariszczi“, o nosach kształtu giętych mebli, poszli na skargę do jednego z oficerów.

Oficer dosyć surowo zapowiedział nam, że różnic żadnych narodowościowych władza robić nie będzie, że wszyscy są tu po to, by się bić dla Francji i za nią.

Byliśmy słowami jego niemile zdziwieni i postanowiliśmy sami strzec swych interesów i wyrażać sobie opinię.

Noc dla naszych „towariszczów“ była dość ciężką. mniej odważni prawie nie spali z obawy o całość ich nie nadto czystą.

Wywojowaliśmy sobie jednak, jakie takie miejsca na legowisko, no i nauczyliśmy „towariszczów“ odpowiedniego dla nas szacunku.

Montbrun tłukło się w pamięci, żal budząc serdeczny za ustroniem, kędy dokoła nas i w nas było tak niezmaczenie cicho i pięknie.

Ze względu na ubrania nasze, które ledwo trzymały się naszych ciał, postanowiono nas przebrać w przyodziewek żołnierski.

Po przyniesieniu z magazynów niezliczonej ilości ubrań, obuwia, czapek i bielizny, wyszeregowani w jeden rząd, czekaliśmy z niecierpliwością na kolorowe sukna i szmaty, które miały wreszcie przeistoczyć nas z cywilów w prawdziwych żołnierzy.

Jakiś nieznajomy sierżant kolejno brał każdego z ochotników za ramię, spoglądał w oczy, potem niżej na piersi i ramiona, potem patrzył jeszcze niżej, następnie zupełnie już nisko, bo na nogi, obra-

cał wreszcie jak manekina tyłem do siebie, chwycił wzrokiem całość i wykrzykiwał jakiś numer. Wnet potem dwóch żołnierzy rzucało przed obejrzanego wolontariusza: buty wielkie i ciężkie, podbite kopą gwoździ, czerwone niezmiernej szerokości spodnie, kurtkę krótką granatową t. zw. „veste“, czerwone kepi, bieliznę tyle mocną, ile kraciastą, jakąś flanelkę na brzuch, wreszcie skórzane szelki do ładownic, no i trzy ładownice do nabojów.

Z jakim pośpiechem przymierzaliśmy otrzymane ubrania, z jaką dziecięcą radością wkładaliśmy każdy szczegół naszej wojennej garderoby, dziś nie sposób mi opowiedzieć.

Brak ubrań odpowiednich miarą, a już przyobleczonych dla przeglądu, czynił z nas wystawionych w długi szereg, coś niesłychanie komicznego. Sterczące czerwone czapki, krótkie, zaledwie bioder sięgające kurtki, spodnie przeważnie za długie i za szerokie, jak morze Czerwone, buty ponad wszelkie wymagania, przyobszerne, nadawały nam wygląd straszaków polnych, broniących kapusty lub buraków przed wycieczkami zajęcy.

Na niezliczone skargi z naszej strony, porucznik, patrzący na ten farsowy obrazek, odpowiadał: — Pozamieniać między sobą!

Według rozkazu porucznika całą noc przerabialiśmy, zwężaliśmy, skracaliśmy i zamienialiśmy naszą garderobę. Doradcami naszymi w doszukiwaniu się byli żołnierze z Legji Cudzoziemskiej, nasi instruktorzy, którzy nam, prawdę mówiąc, imponowali wszystkim, tj. zaciężkim, jednocześnie drobnokrocznym sposobem chodzenia, aż do złamanego daszka kepi, nasadzonego na tył głowy. Każdy z nas chciał wyglądać, jak żołnierz, sławnej na cały świat, pod względem wartości wojskowych Legji Cudzoziemskiej.

Słów parę o Legji Cudzoziemskiej i legjonistach.

Kim są jednostki, wstępujące do Legji afrykańskiej? Indywidua przeróżnych narodowości, ka-

rane za przestępstwa kryminalne, żyjące pod groźbą kary, lub uciekinierzy z więzień — dezerterzy, awanturnicy, szulerzy, albo wreszcie młodzi, żądni przygód i wrażeń chłopcy od lat siedemnastu.

Podpisane zobowiązanie służby w L. C., niszczy wszelkie ciężące wyroki, pozostawia winnych bez kary, jeśli pobyt w szeregach Legji, sam przez się nie jest karą.

Zobowiązania są pięcioletnie. Nauczanie trwa dwa lata, czas najcięższy dla nowicjusza. Upalny klimat, marsze, bezbarwność życia, surowa dyscyplina są próbnym ogniem, przez który przejść musi każdy nowozacieczny.

Po ciężkim, przygotowawczym okresie, pobyt w Legji jest już mniej przykry, zwraca bowiem żołnierzowi pewne minimum samodzielności przedwojskowej, której też zażywa w małych osadach afrykańskich, bądź jako załoga, bądź jako fachowy robotnik, bądź wreszcie, jako obrońca kolonistów francuskich przed napadami niezliczonych band dzikich marokańczyków.

Okres względnej swobody i pracy bardziej samodzielnej nie rozświecila bezbarwnego życia legionisty, którego wrażliwość coraz bardziej tępieje.

Po trzech latach służby, legionista afrykański staje się specjalnym, nigdzie w Europie nie widzianym typem człowieka.

Wolne chwile spędza przy litrach wina — na które zarabia to praniem bielizny kolegów zaможniejszych, to grą w karty, wreszcie kradzieżą. Pojęcie cudzej własności u prawdziwego legionisty nie istnieje. Nigdy nie pyta się, gdzie co jest — nie mówi — nie mam. „On se d...e” szepnie tajemniczo i ma wszystko.

Na niewygody nie skarży się — zawsze umie sobie poradzić. Brak obcowania z kobietami wyrobił w legionście pogardę dla płci pięknej. Łaskawy uśmiech kobiety, podług legionisty nie wart rozlanych na podłodze kilku kropel wina. Ono jest dla niego całą radością i wszystką wartością.

Nic więc dziwnego, że okoliczności, w jakich żyje żołnierz z Legji, zmyliły kierunek jego życia i narzuciły obce, z musu za naturalne przyjęte rzeczy.

Rzadko który potrafi wytrwać pięć lat bez wyraźnego zboczenia (w większej części płciowego).

Charakterystycznym także jest kult legionisty dla własnego ciała.

Mimo warunki, zachowuje on niebywałą, przesadną wprost czystość, staranność ubrania połączoną z pewną kokieterją.

Okres pierwszy — ćwiczeń, grzebie całą przeszłość życiową, nawet w pamięci legionisty — między którymi znaleźć można ludzi o różnym poziomie umysłowym i stanowisku społecznym. Od rosyjskiego księcia, francuskiego markiza, poety, aż do rzezimieszka, kieszonkowego złodzieja, spotyka się wszystkie klasy i stopnie socjalne.

Wartość ludzką mierzy się tam latami służby.

Po pięciu latach pobytu w Legji, legionista staje się wolnym obywatelem Francji.

Wolność, droga dla wszystkich, dla ex-żołnierza Legji Cudzoziemskiej jest tylko kłopotliwą.

Wszystko wkoło obce, inne od życia wczorajszego. Pięć lat — długie pięć lat — dalekie od wiru ogólnego, od środkowego motoru życiowego — w Afryce, potem jeden dzień swobody — rozejrzenie się, niezrozumienie wskutek teraźniejszego życia swojego otoczenia — machnięcie ręki — litr wina i powrót do Legji na drugie pięć lat.

Następne pięć lat — to życie beztróskie w Tonkinie, dokąd wysyłają legionistów po odbyciu pierwszego pięcioletniego zobowiązania. W Tonkinie legionista bierze udział w życiu ogólnym, chodzi do miejscowych teatrów, herbaciarni. Poza tem pije zawsze, wszędzie, ciągle i uczy się palić opjum. W Tonkinie zaczyna nawet patrzeć inaczej na kobiety. O annamitkach opowiada, jako o jedynych kobietach, godnych legionisty. Bezwzględne jej posłuszeństwo mężczyźnie, wychwała pod niebiosa.

Często też żeni się tam, czasem nawet po kilkanaście razy, co nie przeszkadza, że po powrocie do Afryki, zapomina o swych małych żonach.

Podczas drugiego pięciolecia żołnierz zwyczajny dostaje jakiś stopień wojskowy kaprała, lub nawet sierżanta. Kapral odrazu podnosi głowę do góry i pozostaje tylko w towarzystwie legionistów, mających conajmniej dziesięć lat służby.

Z biegiem czasu żołnierz Legji staje się najlepszym żołnierzem, mimo ciągle pijaństwo, które nie przeszkadza mu jednak do wypełniania wszystkich rozkazów z największą dokładnością. Tryb życia, częste, bardzo niebezpieczne starcia z marokańczykami, wyrobiły w nich pewne męstwo, pogardę śmierci i zimną rezygnację. Nic więc dziwnego, że wpływ długiego pobytu w Legji na awanturnicze już w przeszłości charakteru indywiduów, wytworzył typ żołnierza i nic prócz żołnierza. Stąd wartość wojska Legji cudzoziemskiej dla Francji jest niesłychanie duża.

Największy zapal nowoupieczzonego żołnierza nie dorówna wartości żołnierza z Legji jako takiego.

Wszystkie zalety wojenne posiada w sobie legionista. Spryt, podstęp, umiejętne wyzyskanie momentu, terenu, celność strzału, wytrzymałość i odwagę. Legionista bije wszystkie rekordy marszów wojskowych. Dźwiga pod upalnym słońcem południa, nie szemrząc, swój ciężki tornister. W wykonaniu komendy nie omyli się nigdy.

Czyż może być lepszy żołnierz? Rzeczpospolita wie o tem bardzo dobrze i płaci legionistom dosyć hojnie. Sierżant, kapral nawet, po 10 latach służby otrzymuje żołd, sięgający 200 fr. miesięcznie.

Widziałem legionistę, dźwigającego 21 lat służby.

Ci wszyscy, którzy odsłużyli trzy pięcioletnie okresy, mają zapewnione utrzymanie we Francji i prawo do zupełnego obywatelstwa Rzeczypospo-

litej. Wojna obecna — to atrakcja, obiecująca legjonistom pobyt w Europie. Tłumnie też angażowali się ex-legjoniści do armji francuskiej, zaraz po wybuchu wojny.

Takich instruktorów przysłano nam do Bayonny. Jako człowiek, legjonista raził nas — jako żołnierz — imponował. Opowiadane przez instruktorów przygody ich życia, otwierały nam szeroko oczy — często nie rozumieliśmy, jak podobne fakty mogły znaleźć sobie kąt w charakterze człowieka. Kadry nasze nie były zupełne — wszyscy podoficerowie niżsi byli z Legji, między nimi jeden Niemiec nazwiskiem Franken. Franken 13 lat temu uciekł z armji niemieckiej — błąkał się kilka tygodni po świecie, poczem wstąpił do Legji, gdzie czuł się, jak w domu.

Sierżant Guitare, Francuz, napozór surowy, krzyczący, był człowiekiem łagodnym, w głębi — dobrym nawet.

Kilkanaście lat temu przegrał w karty powierzone mu pieniądze. — Odsiadywać karę w więzieniu? — Kiedy istnieje Legja — więc do Legji.

Kapral Caramel, rabuś i złodziej kieszonkowy, opowiadający wesołe okradzenie w Paryżu jakiegoś burżuja.

— Kiedy przyszli mnie aresztować, — mówił — udawałem zdziwienie, tłumaczyłem, że to pomyłka — kiedy jednak nie pozwolili się przekonać i chcieli mnie odprowadzić do więzienia — wyjąłem kartę mego zobowiązania do Legji.

Komisarz ze swiatą wrócił do komisarjatu bezemnie — a ja... ja co prawda na drugi dzień pojechałem do Saidy.

No i jeszcze jeden — kapral Lolichon — całkiem już niewyraźne indywiduum, wiecznie pijane, a w rzadkich chwilach trzeźwości też nieprzytomne. Z tą „starszyzną“ naszą często też dochodziło u nas do najrozmaitszych sprzeczek.

Ich przyjacielskie „toi“ nas obrażało — czego oni pojąć nie mogli. Taki kilkutygodniowy „bleu“

powinien być, ich zdaniem kontent, że raczy z nim rozmawiać stary legjonista.

Jedynym oficerem naszego oddziału był porucznik Doumic, architekt, brat znanego pisarza i uczonego René Doumic'a.

Do niego zwracaliśmy się z ciągłymi skargami na niestosowne obchodzenie się z nami niższej władzy naszej. Porucznik, widząc w nas tyle dobrej woli, przy pewnej kapryśności i ambicji, zakazał traktowania nas, jak ochotników Legji cudzoziemskiej.

Adjutantem kompanji naszej był hiszpan-ochotnik, redaktor jednego z tygodników sportowych paryskich, niejaki Marca-Suza.

Mały, tęg, bardzo energiczny, był głównym dowódcą naszym.

Niesłychanie wymagający, zamęczał nas ciągłym powtarzaniem pewnych, cokolwiek źle wykonanych zwrotów.

Nawet w drodze do koszar po 4 godzinach ćwiczeń — nagłym: „Compagnie — halte“! zatrzymywał nas — kazał prezentować broń, na ramię ją brać, do nogi.

Jeśli wykonaliśmy kazaną komendę bez omyłki — wracaliśmy do koszar — najmniejsze omyłka jednego była przyczyną szeregu powtarzanych ruchów.

Kapralem także został Malcz, który, mimo pewną surowość i czysto polską obowiązkowość, służalczość nawet, zyskał ogólną sympatję kolegów. Jeszcze jednym z instruktorów naszych był stary kapral Haricot. Postać komiczna, ciężka, drżąca przed władzą, pozatem typ chłopca francuskiego dobrego, trochę podejrzliwego. Przy daniu pierwszej lepszej komendy głos Haricot'a łamał się, czasem zrywał się z nagłą i przechodził w jakiś chryp, lub pianie.

Do wydobywania z siebie silniejszego dźwięku, stary kapral uprzednio pomagał sobie dubnymi i niebawale śmiesznymi ruchami rąk.

Wszyscy wspomniani podoficerowie z porucznikiem Doumic'iem na czele, przygotowywali nas do wyjazdu na front.

Pozatem w biurze kompanji mieliśmy dwóch Polaków: Jodkę i Rotwanda.

Pierwszy ex-legjonista otrzymał odrazu stopień sierżanta ze względu na pracę biurową, mało miał styczności bezpośredniej z nami.

Rotwand — uczeń szkoły Beaux Arts, w Paryżu, był typem młodego chłopca o dużej wrażliwości i wyobraźni stale podnieconej. Ten otrzymał stopień kaprała i pracował w biurze, z konieczności, również rzadko komunikował się z kolegami. Rotwand był naogół bardzo lubianym.

Ze względu na niewielką ilość instruktorów naszych, utworzono oddział uczniów — kandydatów na podoficerów. Kandydatem mógł być każdy wolontariusz. Niewielu jednak znalazło się chętnych pierwszego dnia po ogłoszeniu utworzenia podobnego plutonu.

Drugiego dnia natomiast, kiedy zapytano, kto chce wstąpić do oddziału uczniów na podoficerów, z szeregu wyszło kilkunastu, między innymi: M. Rodzyński, mający za sobą kilkanaście miesięcy służby w Legji Cudzoziemskiej. Będąc chłopcem siedemnastoletnim, na skutek drobnej sprzeczki z rodzicami, wstąpił do Legji, skąd go jednak po długich staraniach rodziców uwolniono. Rodzyński wkrótce też został kapralem wolontariuszów.

Z plutonu uczniów kaprałami wyszli Jerzy Kijewski, Włodzimierz i Tadeusz Szaniawscy (oficerowie armji rosyjskiej).

Nowomianowanych kaprali Polaków porozmieszczano po sekcjach. W pierwszej: Malcz i Rusz. w drugiej: Kijewski Jerzy, Rodzyński Mieczysław i Szaniawski Włodzimierz; w trzeciej: Szaniawski Tadeusz i Jerzy Huzarski; w czwartej pozostali francuzi, lub kaprale z Legji Cudzoziemskiej.

Po wprowadzeniu względnego porządku i sfor-

mowaniu sekcji, każdy z nas miał już pewne swoje miejsce, swoich najbliższych kolegów broni.

To właśnie było przyczyną szybszego orjentowania się w wykonaniu wszystkich rozkazów, bez omyłek.

Podział jednak na sekcje nie był ostatecznym, jeszcze szczegółowiej podzielono nas daleko później.

Tak sformowani, poczęliśmy obmyślać wykonanie sztandaru — znaku Białego Orła, dla naszej kompanji.

Wykonanie sztandaru polskiego polecono Dukowskiemu i mnie. Wspólnie w jednej ze szkół bayońskich wystylizowaliśmy Orła Białego.

Panie bayońskie podjęły się wyhaftowania znaku na amarantowej materji.

Życie nasze płynęło bez zmian.

Dwa razy na tydzień chodziliśmy do Montbrun na ćwiczenia strzelnicze. Okazało się, że Polacy i w strzelaniu wyróżniali się celnością.

Oddział nasz przewano „Bataillon de fer“, z czego byliśmy niesłychanie dumni.

Powoli z grupy naszej, jednako odzianej, poczęli wypelzać ludzie o bardziej jaskrawym kolorzycie.

Miedzy innemi jeden Litwin, który zajmował się handlem. Wysoki, dobroduszny blondyn, coraz to z nowym przychodził przedmiotem, stawał na środku sali, poczem uroczystym głosem zachwalał wartość rzeczy, której się chciał pozbyć.

„Oto piękna szczoteczka, może służyć do ubrania, do włosów, fuzji, butów, a dla legionisty nawet do zębów tyle wygod za 50 centymów. Można ją nosić w kieszeni“.

Zdziwiony, że nie ma nabywców, dodawał: „Toż wy własnego szczęścia nie widzicie“.

Litwin na ćwiczenia nie chodził prawie nigdy.

„Ja mam sześć chorób — mawiał: — ustawiczny katar, reumatyzm, łamanie w kościach, bzika, a o innych już lepiej nie mówić“.

Gdy go pytano — dlaczego wstąpił do wojska — odpowiadał naiwnie:

„Cóż — ogólny entuzjazm pociągnął, a choroby to dopiero teraz. Reumatyzm od kamieni. Ja przecież wcale nie mam słomy, a śpię przy drzwiach. Wolontery, wolontery inteligentni, a śpią... Boże zmiłuj się“.

Każda rozmowa Litwina kończyła się gorzkim narzekaniem.

Z najweselszych nigdy i niczem nie przejmujących się ludzi był Szejnkeller.

Pomysły Stejnkellera były znane nie tylko kolegom, ale i władzy. Najlepszy kolega, czasem bardzo dokuczył drobnymi żartami.

„Dla Staśka niema nic świętego“ — mawiali poważniejsi.

Różnorodne usposobienia wolontariuszów zakreślały się coraz wyraźniej na tle ogólnego życia. Trzymano się wciąż jeszcze grupami. Blżsi znajomi zajęli miejsce na słomie jeden obok drugiego. Grupy te, zawsze razem, widywało się w kawiarniach bayońskich wieczorem.

Niedzielę spędzano w Biarritz. Naogół kompanja nasza przeżywała dosyć monotennie czas, który schodził na ćwiczeniach coraz bardziej męczących lub odpoczynku.

Niepomyślne wieści z frontu zaczęły dochodzić do Bayonny. Poczęto myśleć o wyjeździe na pozycję.

Pewnego wieczoru 49 pułk piechoty, stojący w Bayonnie, wyjeżdżał na front. Objuczeni żołnierze, z kwiatami w lufach karabinów, wśród okłasków, płaczu, życzeń, pożegnań, szli na stację. Coś się rwało w piersi, coś ciągnęło tam między nich.

Trzeba jeszcze długo jednak było pozostać w Bayonnie.

Niejednego widok całego ciężaru, który dźwigał żołnierz francuski — przerażał.

Pytano siebie, czy aby podołam. Ćwiczenia bez tornistrów a nadszły nas męczyły. Jakoś tam będzie, pocieszano się.

Obiecało nam zmianę naszego dotychczasowego mieszkania ze względu na chłodne noce.

Pocieszono nas i zmartwiono.

Wielki murowany dom z oknami i drzwiami obiecywał nam pewne wygody.

Jednocześnie przyszło locum nasze, mające chronić nas od chłodu nocy, mówiło, że nie prędko wyjedziemy na front.

Zbliżenie się Niemców pod Paryż, groźba zajęcia Warszawy, pochyliły nam głowy ciężkiem zamysleniem o Polsce.

Wesoły, względnie nastrój, beztroskiego żołnierskiego życia zmienił się.

Coś gniotącego, trwożącego nadbiegło zdala i w piersi polskiej się przyczaiło.

Pod koniec września przenosiliśmy się do opuszczonego przez 49 pułk — domu. Niedgdy klasztor mieścił w sobie niezliczoną ilość pokoiów, połączonych długimi korytarzami.

Stary dom, za nim zaniedbany ogród owocowy, kaplica wschodnia, stojąca na tle kasztanów, były chwilowymi i przypadkowymi koszarami, dla podobnie przypadkowych żołnierzy.

Każdy pokój — raczej cela mnisza, mogąca pomieścić dwóch, szczupłych i nie lubiących się wadzić ludzi — mieściła 6—7 legionistów.

W jednej z takich wąskich klatek znalazłem się z dr. A. Blanksztajnem, K. Dunikowskim, J. Kijewskim, J. Szurygem, J. Rotwandem i K. Szejnkellerem.

Nauczani doświadczeniem, że w wojsku ma się to tylko — co się ukradnie, co się z rąk słabszego wydrze — poczęliśmy się na wzór naszych cyganów rozglądać, gdzieby też można było znaleźć do wzięcia, coś dla wygody codziennej. Jedynym do załatwienia podobnych wypraw był St.

Szternkoller — ten z najniewinniejszą miną w świecie przyniósł cztery nowe, naładowane słomą sienniki, dzban do wody i dwie kołdry.

W jednym też naszym pokoju wszyscy spali na siennikach — wszyscy mieli wbrew zwyczajowi własne kołdry. Kołdra bowiem, ogólnie przykrywała dwóch wolontariuszów.

Pokój był zupełnie zajęty przez ułożone rzędem sienniki, które złożone na dzień, służyły za wygodne, miękkie fotele.

Tragedją był brak oświetlenia w domu — świec, ze względu na ilość słomy, palić nie było wolno.

Zaliczni mieszkańcy pokoików, ze względu na ciasnotę i dziesiątki różnych drobnych rzeczy: pasów, sprzączek, ładownic, przyborów do czyszczenia karabinów, którym groziło zaginienie, mimo ciągle zakazy — zapalali świecę, co było powodem kar.

Raz nawet pobito kaprała, który siłą chciał się wdrzeć do pokoju i zagasić światło. Ten gromadny czyn antymilitarny przeszedł jednak bez poważniejszych następstw.

Najwięcej i najsilniej protestującym przeciwko ciemności był K. Dunikowski, który co wieczór zapalał świecę, powtarzając stale: „Przecież ja jestem człowiekiem — cóż wy chcecie — nie można pozwolić!...”

Nieustanne protesty nasze zmusiły jednak władzę do zaprowadzenia w całym gmachu elektryczności.

Wieczory i ranki schodziły na kłótniach i wymawianiu sobie wzajemnie, jak kto spał, jak kto wogóle sypia, a zaczynały się przeważnie takimi słowami:

— Jerzy, psiakrew! (słowa aż nadto często używane w legionie) Jeśli ty już tak bardzo lubisz spać na wznak, to po djabła się angażowałeś?!

Albo:

— Jestem cierpliwy, ale — jeżeli mi jeszcze raz będziesz pchał palce w nocy do ust i kopał po bokach, — to ci w nocy dam po głębie!

— Ty z twojem chrapaniem mógłbyś iść do ogrodu. Co tobie się zdaje — gdzie ty jesteś?

Chcąc uniknąć nocnych zdarzeń, a później dziennych sprzeczek — Dunikowski odgrodził sien-
nik swój od innych szeroką deską.

Nasz majątek chowaliśmy pod sienniki.—Co-
dzień zrana w pośpiechu wydzierano sobie różne
części naszego umundurowania.

Niektórzy, bardziej pomysłowi, wypisywali na-
zwiska swoje na swoich i nie swoich rzeczach.
Dunikowski na przykład miał trzy paski z wypisa-
nym na każdym X. Abdank Dunikowski.

Potrzebne ćwiczenia znaliśmy już dobrze,
były one coraz bardziej męczące — wielu też
z nas słabszych i nieprzyzwyczajonych chorowało
ze zmęczenia.

Miedzy chorymi jednak byli i tacy, którzy
z lenistwa nie chodzili na ćwiczenia.

Codziennie o godz. 5-ej rano przechodził dłu-
gim korytarzem dyżurny kapral, wykrzykując na
cały głos: — „malades! les malades!“

Wszyscy, którzy z jakichbądź powodów nie
chcieli pójść na ćwiczenia, lub długi marsz woj-
skowy, zapisywali się na listę chorych.

Nazwiska chorych wpisywano do specjalnej
książki.

O godzinie 9-ej rano zaczynała się wizyta le-
karska.

Chorych ustawiano jeden za drugim i kolejno
wpuszczano do pokoju lekarza.

Ogledziny trwały zazwyczaj nie długo.

Srodki lecznicze były bardzo nieliczne. Na
bólę gardła, piersi, nogi, ręki, nerek stosowano jo-
dynę, — na żołądek jakiś podobny do kredy śro-
dek przeczyszczający, albo... albo też jodynę.

Srodki wogóle nas nie obchodziły — bardzo
natomiast — djagnoza.

Po oględzinach, tj. zjrzeniu w oczy, popatrzeniu na język, doktor notował w książce dla chorych swoje uwagi. Notatki były trojaki: uwolniony od służby na tyle i tyle dni; druga porada umotywowana, ta uwaga nie uwalniała od służby, pozwalala jednak wypocząć pół dnia, trzecia i najgorsza to porada nieumotywowana. Za ostatnią adnotację groziło cztery dni kozy.

Doktorzy Polacy byli bardzo względni nawet na lenistwo swych kolegów i uwalniali ich bardzo często.

Uwalnianie się wolontariuszów, czyli mówiąc słowami prawdy, wykrecanie się sianem od pracy, lub ćwiczeń, nie podobało się naszej władzy, która wszystkich „chorych“ bez wyjątku zamykała w jednym na ten cel przeznaczonym pokoju. To próżnowanie połączone z niesłychaną nudą, odstraszało wielu od możliwości odpoczynku i przyczyniło się do zmniejszenia ilości tzw. chorych.

Dowcipni francuzi do melodyjnej rannej pobudki wymyślili słowa następujące:

„Soldat leve toi, soldat leve toi!
Si tu ne veux pas t'lever.
Faux t'porter malade,
Si te n'est pas reconnu
Tu aura quatre jours de plus.“

Te „cztery dni więcej“ znaczyło cztery dni zwykłej paki.

Ta pierwsza pobudka odrąbiona o czwartej rano łączyła się z następną o godzinie dziewiątej, kiedy to dyżurny sierżant po krótkim odrąbieniu wykrzykiwał rozkaznie słowa, lęk niepewności budzące:

„Les malades en bas!“

Sygnały francuskie są bardzo ładne i melodyjne, każda melodia ma swoje do niej przez żołnierzy dokomponowane słowa, które jednak do powtórzenia się nie nadają.

Głos trąbki w koszarach brzmi dziewięć razy dziennie.

Pierwszy, przeklinany, o godz. czwartej rano, drugi wyżej wspomniany zwołujący chorych, trzeci wołający kaprała dyżurnego, czwarty gromadzący wszystkich dla wysłuchania raportu dziennego, piąty — to rozdawanie listów, szósty i siódmy — soupe, ósmy krótki, niby zew srogi — apel wieczorny, dziewiąty najbardziej melodyjny na gaszenie świateł i dobrą noc.

Najlepszymi trębaczami we Francji są żołnierze Legji Cudzoziemskiej, im bowiem kilkunastoletnia praktyka pozwoliła się wczuć we wszystkie subtelności możnego instrumentu, jakim jest trąbka — towarzyszka żołnierza we wszystkich jego złych i dobrych godzinach.

Ćwiczenia stawały się z każdym dniem coraz bardziej uciążliwe. Dyscyplina wojskowa niewidzialnie wchodziła w życie nasze, coraz więcej ograniczając wolę, zachcenia, ambicję. Myśl nawet pracowała ostrożnie, jednokierunkowo. Przeszłość, niedawna jeszcze przeszłość życia w Paryżu, ukazywała się już tylko na mgnienie oka w obrazach mgławicowych, wyobraźnią nawet z trudem powtarzanych w chwilach zamyśleń się przedśmiertnych i błąkań myślami po przestrzeniach dni minionych.

Mimowoli stawaliśmy się zwartą masą, tłumem jednako ubranym, budzącym się i zasypiającym na odgłos trąbki, żyjącym, zdawało się na dźwięk suchy i ostry, znany już dźwięk komendy.

Pamiętam, gdy podczas ćwiczeń mojej kompanii wyjąłem chustkę z kieszeni, w celu wszystkim kulturalnym ludziom wiadomym — chustkę do nosa. Wydobytej nie zdążyłem użyć, ponieważ tuż przy mnie stał czerwony z gniewu adjutant, rycząc pytanie. „Vous êtes au garde a vous“?

Zdziwiony, chciałem odpowiedzieć, że to u nas rodzinne, że zresztą prawie wszyscy moi znajomi używają chustek do nosa.

Jak opętany ryknął adjutant: „Milczeć!”

Zamilkłem, nie mogąc powstrzymać zdziwienia i uśmiechu.

Srogi adjutant i to dojrzał, zdławionym szeptem rycząc mi w ucho.

„Ne rigolez pas, je vous en prie!”

Od tego dnia zapomniałem, jak wygląda chustka do nosa — ba, nawet dziwiłem się, widząc ją u spotykanych w Bayonnie ludzi.

Do ćwiczeń zwykłych przybyła nam warta. Ćwiczenia dosyć nużące i wyczerpujące.

Na dwadzieścia cztery godziny schodzili się, do specjalnego na ten cel przeznaczonego budynku, wolontariusze w pełnym ekwipunku.

Co cztery godziny ci sami obejmowali placówki wartowników. Godzin warty wypadało na każdego po ośm.

Strzeżone przez nas miejsca zupełnie nie wymagały czujności uzbrojonego w karabin i bagnet żołnierza.

Powierzonych nam jednak stanowisk strześliśmy z ogromnem przejęciem — dumni, że wogóle coś nam powierzono, że nawet użycie bagnetu jest dozwolone, jeśli jakiś niespodziewany napastnik chciałby nas, lub strzeżone mienie jak np. parkan rozwalony, lub zapomnianą studnię uszkodzić. Z zaprowadzeniem warty wykluczone zostało spóźnianie się po dziewiątej godzinie wieczorem.

Po odtrąbieniu apelu, każdy spóźniony, był odprawiany na „poste de police”, gdzie notowano nazwiska spóźniających się, by je nazajutrz podać dowódcy kompanji do kary. Kary za przewiny nasze, pochodzące zawsze z lekkomyślności, nie były surowe. Najpospolitszą była t. zw. „consigne” tj. zakaz wychodzenia po ćwiczeniach na miasto.

Kaprał miał prawo dać dwa dni wspomnianego „consigne”, sierżant — cztery.

Prócz „consigne” były jeszcze kary: zwykłe więzienie i cela oddzielna — te mimo wszystko

były nam bliżej nieznane. Zakaz jednak wychodzenia poza bramę koszar wogóle, a w dniu świąteczne w szczególności był dla ochotnika po prostu karą najcięższą, jaką sobie można było wyobrazić. „Consigne“ ścigało i gnębiło nie tylko wolontariusza, ale jeszcze kogoś, co wątpił, czekał kilka godzin, wreszcie ze łzami w oczach szedł albo w las Montbrunn, albo schować rozświetlone łzami oczy w jedyną powiernicę — poduszkę.

Była za Bayonną i jest zapewne dotychczas, szeroka aleja wysadzana starymi kasztanami, aleja po której nikt prawie nie chodził. Były wieczory z urokiem nocy zmieszane, kiedy księżyc przedzierając się przez gęste kasztanów listowie, zdobił drogę koronkowym ornamentem, który się zlekka poruszał, drżał, a czasem jakby zaklęty, leżał nieruchomy na wysrebrzonej ziemi, niby na jasno zielonawej makacie.

Było cicho w tej alei, przez kasztany stare strzeżonej, choć od przyjazdu ochotników polskich do Bayonny w wieczory jesienne setki nóg znaczyły swe ślady, szepty ludzkie bratały się z drzew tajemniczym poszmerem, gdzie pocałunki odzywały się echem w sercu drzew, a łzy tajone padały na wzorzystą makatę.

Z nad granatowych jezior litewskich, z równin mazowieckich, krakowskich zaułków, szerokich ulic Warszawy błąkały się, w hipnotycznym śnie miłości, sylwety francuskich żołnierzy — polskich ochotników — wszeptujących lubo słowa w łasce Kochania przeżywanych godzin, komuś, co sercem całym do serca polskiego przywarł. Bładolice baszki o oczach, gdy spojrzały, promienie ciskających, tuliły swe małe czarne główki do ramienia z daleka przyjezdnych rycerzy, szepcząc cicho tak bardzo wyznania miłosne i prośby: pamiętaj o mnie!

Powiew cichy spajał dusze, jak ten błękit czyste i gnał je zwarte, niby wodę ruczaju jedną, w treści swej nierozdzielnej, hen przed siebie na

dolę, nie wiedzieć jaką, złą, czy dobrą, nieznana przyszłą dolę żołnierza polskiego i jego kochanki. Mówili do siebie wszyscy w tej starej, kasztanowej alei kochaniem wielkiem, jakby przedzgonnem, szeptali przysięgi serca, wpowiadali w siebie dobre nadzieje powrotu.

Pocałunki spalały łązy, precz pędziły zuchwałe, niedostępne lęki, co zazębiały serce o serce, myśl o myśl coraz bardziej, głębiej.

I tak codziennie, gdy się zbliżał wieczór, w zmęczone ciała ochotników wstępowała tęsknota i gnała sterane nogi w kasztanowe aleje.

Sztandar, srebrem haftowany przez panie bayońskie był już w naszych rękach.

Postanowiono wybrać z pośród nas chorążego. W tym celu zebrali się wszyscy w długim korytarzu o godzinie 8-ej wieczorem.

Mimo tajne głosowanie, nie obeszło się bez hałaśliwej agitacji wyborczej.

Wybrany został Władysław Szujski, w którego też ręce złożono Białego Orła.

Niewielkie kadry, ze względu na częste polowe manewry nasze, musiały być zwiększone. Sprowadzono więc nam kilkunastu sierżantów i kaprali, którzy już, jako stali nasi zwierzchnicy mieli z nami wyjechać na front.

Większość z nowych podoficerów przyjechała z bataljonów dyscyplinarnych i wygląd miała zawodowych zbrodniarzy. Do sekcji mojej dołączono niejakiego Royer'a.

Ordynus, bezmyślny żołdak często bardzo władzę swoją posuwał zadaleko — wkrótce jednak i ten ku wielkiemu swemu zdziwieniu został przez porucznika naszego uspokoiony.

Mimo taktowne postępowanie porucznika Doumic'a, stosunek z ludźmi, przyzwyczajonymi do wszelakiego typu wyrzutków społecznych, nie był nader przyjemnym.

Cwiczenia męczące i powtarzanie ich bez końca zdawało się nam też być czemś zgoła niepotrzebnem.

Przemęczeni, nie biorąc jeszcze czynnego udziału w wojnie, postanowiliśmy wysłać zbiorową prośbę do pułkownika o przyspieszenie wyjazdu naszego na front.

Narzekaliśmy na władzę naszą, która ćwiczeniami wyczerpywała siłę naszą, nie troszcząc się, że później, kiedy będzie ona nam więcej potrzebna, może jej zbraknąć.

Sarkania powtarzały się głównie w ciągu zajęć — o godz. 5-ej, tj. wtedy, kiedy brama koszar się otwierała zapominano o wszystkim nużącym i niewygodnym.

Cwiczenia poszczególne, które już wykonywaliśmy bez zarzutu, zsłabiły nam całodzienne, niezwykle uciążliwe marsze i manewry, zwykle kończące się atakiem na bagnety, wyciem i nieludzkimi krzykami „Naprzód“.

Po „zwycięstwie“ padaliśmy na trawę prawie bez życia. Na jednym z takich marszów, podczas długiego odpoczynku, ustawiono nas w dwurząd, poczem na koniu przyjechał komendant. Na rozkaz otoczyliśmy go kołem. Po minach naszej władzy spostrzegliśmy, że chodzi tu o coś ważnego — nie myliliśmy się.

Komendant głosem poważnym, złym poniekąd, zaczął:

„Odważacie się na rzeczy, za które przecież grozi wam sąd wojenny, Żadne zbiorowe prośby, petycje, skargi, w armji są niedopuszczalne i surowo pod grozą sądu wojennego, zabronione. Jednostka może prosić o rozmowę z najwyższą władzą, nigdy gromada.

Całe szczęście wasze, że jesteście wolontariuszami i cudzoziemcami.

A dalej, nie myślcie, że chcemy was marynować, że chcemy wami okolice Bayonny upiększać. Nie! Musimy was przygotować, nie wystarcza bowiem sama dobra wola wasza i odwaga — chcąc

się bić, trzeba umieć się bić, a wyście jeszcze tor-nistra nie mieli na plecach. Męczycie się kilku-nastoma kilometrami, a tam na froncie w okopach żołnierze biją się całymi nocami.

Wyślemy was prędzej, niż myślicie, ale mu-sicie stać się żołnierzami — dotąd jesteście jeszcze dziećmi, dla tego wam tak pilno“.

I naprawdę byliśmy dziećmi.

Pierwszy nocny marsz był potwierdzeniem słów komendanta. Obijając nogi o kamienie, depta-lśmy pociemku po wyboistej drodze — zmęczeni i upewnieni w nasze niezahartowanie.

Cofanie się wojsk niemieckich z pod Paryża, ich porażka na Marnie zupełnie zajęła nasz umysł, tak, że chęć naszą wyjazdu cokolwiek się przy-cmiła.

Czy to na skutek prośby naszej, czy też z ko-lei rzeczy, przygotowywanie nas do wyjazdu za-częło się odbywać gorączkowo, pospiesznie.

Muszę przerwać, by kilka słów wtrącić o na-szej pladze bayońskiej. O godzinie czwartej z rana wyprowadzano nas na cały dzień w miejsca od-ległe od Bayonny o 20 kilometrów. Marsze te wy-czerpywały nas ogromnie, nie ze względu na ilość kilometrów, lecz na panującą krwawą dysenterję, którą przechodziliśmy bez wyjątku wszyscy. Pod-czas choroby nie mieliśmy ani dnia odpoczynku, karmieni biżmutem i jeszcze jakimś proszkiem, umę-czeni, do ostatnich granic naszych fizycznych mo-żliwości, prosiliśmy Boga już o nic więcej, tylko o to „letkie skonanie“ na sienniku koszarowym.

Śmierć nie przychodziła, życie zato pastwiło się nad nami w sposób niewypowiedzianie okrutny.

Co się tycze marszów nocnych, to podczas okresu najsilniejszego panowania tej przekłętej cho-roby, zbłąkani żołnierze częstokroć zjawiali się w koszarach dopiero w południe dnia następnego wychudli, zmienieni, prawie bez życia.

Oj, ciężkie to dnie były, dnie pełne pretensji do Boga, władzy naszej, doktorów, słowem do

wszystkich, prócz kolegów i to chorych, bowiem do tych nielicznych zdrowych mieliśmy w steranem i wyczerpanem naszym ciele, conajmniej głęboką urazę.

Zapomnijmy jednak o tych najgorszych chwilach, by wrócić do życia naszego poza tą złą częścią wspomnień z Bayonny.

Do życia naszego w koszarach ciągle dochodziły przenajrozmaitsze nowiny.

Coraz któryś z nas uroczyście obwieszczał, że najdalej za dwa tygodnie jedziemy; że wolontariusze z Bloi już wyjechali; że nas wysła na trzecią linię ognia; że wreszcie nas wcale nie wysła itp. i t. p.

Każda taka nowina pochodziła zawsze z ust najbardziej wiarygodnych.

Wszyscy bardzo łatwo wierzyli w błakające się pogłoski, które choć czasem zupełnie nieprawdopodobne, były dla naszej czekającej wyobraźni pożądaną atrakcją.

Atrakcją także były nowe tornistry, zaopatrzone w dziesiątki pasków i paseczków, gamelki*), torby.

Dotąd jednego nam tylko brakowało — tornistrów, po otrzymaniu ich byliśmy pewni, że wyjazd nasz jest kwestją dni.

Na marsze wychodziliśmy mniej więcej podobni do żołnierzy, których widzieliśmy jeszcze w Paryżu w pierwszych dniach wojny. Byliśmy dumni z naszych tornistrów, niebieskich pokrywek, nakładanych na czerwone czapki — z całego naszego wojennego majątku.

W tornistrach nie nosiliśmy absolutnie nic, na nich kołdrę i gamelkę.

Dziwiliśmy się też łatwości, z jaką nosiliśmy ten tak okrzyczany ciężar — tornister.

Poranki zato w koszarach były istnem pic-

*) Gamelle — blaszanka żołnierska, spolezczone — gamelka.

kłębem, do którego w znacznej mierze przyczynił się właśnie tornister.

Zwijanie kołdry podług ustalonego przepisu zabierało sporo czasu, nie mówiąc już o dziesiątkach pasków, narazie nieużywanych, mających jednak każdy swoje przeznaczenie.

Wolne chwilowo paseczki trzeba było zwijać w jakieś fantastyczne kółka, a wszystko podług przeklinanego przez nas, regulaminu.

O godz. 5-ej rano kaprale i sierżanci biegali jak opętani krzycząc: „Depechez vous! Plus vite q'ça.”

Jeden Jerzy Kijewski, mimo że sam był kapralem, spał najdłużej, wstawał jedynie na skutek jakiejś silniejszej groźby, lub wprost kopnięcia.

Przebudzony, stawał bezradnie na środku pokoi i prosił:

„Pomóżcie mi”.

Trudno było pomagać wtedy, kiedy każdy drżącymi z pośpiechu rękoma dopinał coś, co się akurat dopiąć nie chciało.

Widząc się zupełnie opuszczonym i przestraszonym żmudną pracą, która już winna była być zrobiona, Kijewski ze smutkiem rzucał gorzkie: „Nie mam już przyjaciół”.

Z dołu rozlegało się gwizdanie i do oblędu doprowadzające przyspieszanie, groźby wołanie itp. przeraźliwe krzyki,

Ranne przygotowania były naszą tragedją.

Zgadzałem się zupełnie z Dunikowskim, który mówił: „Że to można zwarjować”.

Nikt z nas w Bayonnie nie zwarjował, ale że można było, to pewne.

Na początku października odbyło się po mszy polowej, poświęcenie naszego sztandaru.

Duży plac za koszarami przepełniony był mieszkańcami Bayonny.

Po poświęceniu odśpiewano: „Boże coś Polskę” i „Rotę”.

Na uroczystości był ambasador angielski z żoną — polką, która poprzez lzy patrzyła z ja-

kiemś zdziwieniem na garstkę polaków, skupionych pod znakiem Ojczyzny.

W połowie października na podwórku koszarowym zobaczyliśmy siwego już kapitana, który został dowódcą mojej kompanii.

Kapitan Lobus przyjechał do Bayonny z bataljonów dyscyplinarnych.

Pierwszego dnia zrobił przegląd wszystkich Polaków.

W mowie swojej do nas kilkakrotnie powtarzał: „że żołnierz nie poto jest, by był jak najprędzej zabitym. a poto, by zabijał, zabijał jaknajwięcej“.

„Ja widzę, że wam nie brak odwagi, ale brak rozwagi. Powinniście bezwzględnie być posłuszni, uważni i ostrożni. Wyrwać się naprzód z bagnietem, by zginąć — to głupie, to głupie! Wojna obecna, to nie tygodnie, nie miesiące — to lata“.

Na polu ćwiczeń, podczas rozsypywania się w tyraljerkę, za najmniejszy błąd gromił nas wszystkich, sierżantom i kapralom groził, że im pozrywa galony.

„Wszystko co widoczne — ginie! krzyczał, trzeba być niewidzialnym, przypadać do ziemi błyskawicznie“.

Ćwiczenia nasze stały się wyczerpującą gonitwą, nieustannem padaniem i podnoszeniem się.

Naogół kapitan Lobus cały dotychczasowy porządek przewrócił do góry nogami.

Po przyjeździe do koszar wydawano nam coraz to inne szczegóły naszego „equipment“. Dzień cały był zajęty. Byliśmy wprost zamęczeni. Co godzinę był jakiś nowy przegląd rzeczy naszych, a więc: bielizny, ubrania, karabinów, bagnietów.

Zapisywano adresy naszych rodziców, by ich zawiadomić w razie śmierci wolontariusza.

Pytania zapisującego sierżanta obudziły coś drzemiącego w duszy każdego z nas.

„Jako, więc my możemy nigdy nie zobaczyć tego, co kochamy, za czem tak tęsknimy. Nigdy?”

I prawie nikt z nas nie dał adresu rodziców, ani miejsca w Polsce, skąd wyjechał,

W wyobraźni każdy z nas widział matkę, trzymającą w rękach, tam, daleko. w Polsce świstek pisany po francusku — wieść, że syn jej zginął. Widział łzy, całą rozpacz i drogą, znajomą twarz, w bólu zastygłą.

Podawano adresy kolegów. lub znajomych.

20 października cały bataljon nasz przechodził przez ulicę Bayonny.

Ostatnie ćwiczenie: nauka szybkiego zajmowania pociągów przez żołnierzy, wsiadania i wysiadania, ładowania wozów, mitraljez.

21-go przegląd ostateczny przez generała.

Okrażeni tłumem bayończyków, przy odgłosie trąb defilowaliśmy, jak starzy żołnierze.

O godz. 5-ej wieczorem w koszarach nie było już nikogo.

Wszyscy wiedzieli, że jutro wyjazd.

O godzinie dziewiątej siedzieliśmy na werandzie kawiarni bayońskiej. Dojrawszy przechodzącego pułkownika, zasalutowaliśmy. Pułkownik uśmiechnął się przyjaźnie i z zadowoleniem powiedział: „Bardzo dobrze defilowaliście”.

Po krótkiej naradzie postanowiono poprosić pułkownika, by nam pozwolił pozostać dłużej w mieście.

Dwaj obecni, wydelegowani z prośbą, kaprale przynieśli pozwolenie na pozostanie jeszcze pół godziny.

Pół godziny przeciągnęło się do piątej rano.

— Dziś nas przecież do więzienia nie wsadzą, ani „consigne” nie dadzą — rozumowaliśmy zupełnie trzeźwo i słusznie.

O godzinie jedenastej w nocy szliśmy czwórkami wybijając głośno takt: „un, deux”.

Tu i owdzie otwierały się okna, z których wychylały się twarze częstokroć znajome, wówczas

czwórki się rozpadały, wielu bowiem z idących stawało pod oknami, by wyszeptać straszne, z lękiem czekane przez te wychylone z rozpuszczonymi włosami kochane główki Bayonek — słowo jutro.

Z nocnych, jeszcze otwartych kawiarni echem się niosły, aż gdzieś hen ku granicy hiszpańskiej najweselsze i najsmutniejsze piosenki polskie.

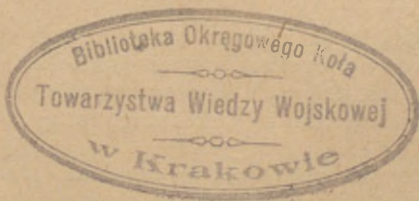
Cała Bayonna wiedziała, że nazajutrz wyjeżdżamy, cała Bayonna nie spała razem z nami aż do świtania.

W szarem świetle budzącego się dnia październikowego na rogach ulic, tu i ówdzie we wgłębieniach domów, na tle ciemnej bramy wcałowywał wolontariusz polski w usta cicho łkającej Bayonki swe pożegnanie.

O późnym przedświcie wracaliśmy do koszar.

W szerokiej alei było pusto. Kasztany stały poważne, zdumione, w zupełnym bezruchu z bezwonnymi, jakby z przewielkiego smutku, opuszczonymi ku ziemi ramionami. W bramie koszar nikt nas nie zatrzymał. Przed starą bizantyjską kaplicą było jeszcze zupełnie cicho, tylko w głębi podwórza klasztorного przygotowywali kucharze ostatnią, nigdy tak zaranną „soupe“ w Bayonnie dla wolontariuszów polskich.

Koniec części pierwszej.



Odjazd na front

Na front, na front!...

Dziś słowo to straciło swój urok, słowo kryjące czar tajemnicy w pierwszych miesiącach wojny — obecnie łączy się w pojęciu każdego obywatela z niewygoda, chłodem, głodem i niebezpieczeństwem.

Dawniej wszystko to miało swój wabny wdzięk, ciągnęło ku sobie przemocą, obiecywało czyn, w którym się ma zamknąć całe życie, mogiła stwierdzone.

Dziś niebezpieczeństwo przstrasza, niewygodę odstrasza.

O godzinie 7-ej rano dnia 22 października zaroilo się na podwórku koszarowem. Golono się staranniej, niż zwykle, myto, czesano przed wyjazdem na front.

„Na front“ — powtarzało się i słyszało ciągle. Sierzanci, kaprale biegali, jak opętani.

Do tornistra dorzucaliśmy coraz to nowe, otrzymane przed chwilą szczegóły, jak: sznurowadła, tłuszczy do czyszczenia fuzji i t. p.

O godzinie dziewiątej kazano nam wszystkie rzeczy spakować, uporządkować zajmowane pokoje, tak, by w nich żadnych śladów po nas nie zostało.

Spakowane tornistry, karabin, torby znieśliśmy na dół.

Byliśmy już poniekąd w drodze. Do małych przed chwilą opuszczonych celek klasztoru-koszar nie wolno było wchodzić.

O godz. 10-ej ostatnia wizyta lekarska.

Kolejno byliśmy pytani przez lekarzy czy czujemy się dosyć silni, by jechać na front, czy nam nic nie dolega?

Z kompanji polskiej zostali w Bayonnie Ksawery Dunikowski, Djamentowski i Huzarski.

Silny rozstrój nerwowy i wyczerpanie fizyczne nie pozwoliły Dunikowskiemu wyjechać z nami. Żegnając się z nim widzieliśmy żal jego rozstawiania się z garstką odjeżdżających kolegów.

W ostatniej chwili chciał jechać, na co nie pozwoliliśmy, wiedząc bowiem, że tam gdzie jedziemy potrzebna nie reszta siły, ale jej nadmiar.

Przed bramą oczekiwały nas tłumy kobiet z kwiatami.

To wszystko, cośmy przywieźli z Paryża z przed gmachu Inwalidów, co wypieściła z nas nasza wyobraźnia od początku wojny, cośmy przed snem widzieli twardym, codziennym na brudnych siennikach koszarowych — wszystko to teraz zwarte zgęszczone drżało w upalnym słońcu południa.

Rozpostarło się nam naszemi głowami, snuło się po ziemi, omotało myśl naszą, która jeśli się na chwilę wyrwała, to już tylko po to, by wargami przywrzeć do przedrogich rąk, które daleko może właśnie w tej chwili, w modliswie, bólu, lub niepewności załamały się nad losami drogiej Ojczyzny.

Ołówkiem kreślono ostatecznie słowa pożegnań, niecałowanym ustom narzeczonych, słano żywe ostatnie pocałunki.

O godz. 12-ej ostatnia „soupe“. Siedząc na kamieniach lub trawie zjadaliśmy pośpiesznie nasz obiad.

Po obiedzie rozdano nam prowianty na drogę. Manierki napełniono winem.

O pierwszej godzinie „rassamblément“.

— Tornistry na plecyl — rozlega się komenda. W sekundę na nasze już żołnierskie plecy wrzuciliśmy ciężkie, misternie spakowane tornistry.

Rozdano ostre naboje.

„Armes sur l'épaule-droite!”

„En avant par quatre!” Trębacz zagrał refren Legji.

Czwórka za czwórką przechodziła bramę koszar w Bajonnie po raz ostatni.

Przez miasto przechodziliśmy, zarzucani kwiatami, wśród oklasków i krzyków: „Niech żyją Legjoniści! Niech żyją Wołontariusze!”

Spoceni, zmęczeni, szliśmy dzielnie w takt trąb, które nie przestawały grać.

Przeładowani, na wzór wozów chłopskich t. zw. „kolejniaków” podczas żniw, prażeni 38 stopniowym upałem, ledwie dowlekliśmy nogi do stacji. Podczas ładowania do wagonów wszelkiego sprzętu bojowego, żywego i nieżywego, a więc: koni, mułów, skrzyń z nabojami, mitraljez i t. p.— odpoczywaliśmy nieopodal planty kolejowego. Mieszkańcy Bayonny koszykami znosili nam butelki z winem, pomarańcze, czekoladę, tytuń i papierosy. Ciche, z oczyma od łez czerwone, kochanki ochotników polskich przyszły po raz ostatni powiedzieć o swoim wiecznym kochaniu, z okrutnej troski się wyspowiadać i rozświecić precudną radością swe oczy z bezmiernego szczęścia, obietnicy powrotu.

Nie krępowały się wówczas nikogo. Zarzucały swe ręce na szyję i brały pocałunki z ust żołnierskich, ust, które może już nigdy ciepłym oddechem na twarz nie chłoną, ust zwartych w bólu przedśmiertnym, co nie pozwoli, w chwili ostatniego życia żegnania, rzucić imienia kochanki. Tkliwe widzenie oczu, brało szerokim, rozpaczonym gestem spojrzenie odjeżdżającego na wieczne pamiętanie, na niezastąpienie niczym wzrokiem, na niemoc fizyczną zdrady.

Krótką, suchą komenda zerwała ten pożegnalny, miłosny wyśpiew duszy, to błogosławieństwo rozkochanego bytowania życia, które jutra nie zna swego.

Szły spojrzenia za odchodzącymi wołontariuszami, nóg się czepiały, przypadały do rąk, póty,

póki nie powlokły się wagony naprzód, szarpnięte bezlitośnie zrezygnowanym sapiącym parowozem.

Przeznaczony na sześciu ludzi przedział w wagonie zajmowało ośmiu żołnierzy z tornistrami, wyposażowanymi torbami i karabinami.

Na stacjach wysiadaliśmy dopiero po usłyszeniu odtrąbionego sygnału „Halte là!”

Pociąg, nie skarżąc się na brak czasu, wybijał jakiś zabójczo monotony takt i wlokł się jak żółw z odciskami na wszystkich palcach u wszystkich nóg.

Wieczorem, drugiego dnia od wyjazdu z Ba-jonny zbliżaliśmy się do Paryża.

Dziesiątki reflektorów, o różnem natężeniu światła, przetykały ciemną nocną, przebiegały przez chmury, wymacując ponocnego ptaka-nieprzyjaciela.

Minęliśmy długi pociąg, gdzie, w jasno oświetlonych wagonach pierwszej klasy, leżeli ranni żuawi.

W wyobraźni naszej widzieliśmy siebie—obandażowanych, leżących wygodnie w wagonie pierwszej klasy, już po chrzcie ognia, już powracających z tego tajemniczego „frontu”.

Zazdrościliśmy żuawom, z których niejeden, konający, nie przypuszczał, że stan jego może być przyczyną czyjejs zazdrości.

W mroku nocy dostrzegliśmy wieżę Eifel i byliśmy pewni, że choć kilka godzin będziemy mogli spędzić w Paryżu, zobaczyć się ze znajomymi i pożegnać kolonję polską.

Pociąg zatrzymał się w Noisy le Sec, gdzie powiedziano nam, że bataljon przenocuje w wagonach.

Wielu z nas chciało się wymknąć do miasta, co ze względu na gęsto rozstawiane warty okazało się niemożliwem,

Spano siedząc na swoich miejscach, głowy kolegów wspierały się wzajemnie i śniły sny o zbliżającym się jutrze naprzeciw nieprzyjaciela.

Wczesnym rankiem, po spożyciu pierwszego śniadania ruszyliśmy, nie wiedząc jeszcze dokąd jedziemy.

I tym razem nie brakło domysłów i najbardziej wiarogodnych nowin, przyniesionych z sąsiedniego wagonu.

Pod wieczór 25 października pociąg nasz zatrzymał się w zaroślach, gdzie na rozkaz komendanta wysiedliśmy z wagonów.

Nakazano nam zupełną ciszę, mówiąc, że za ledwie o kilka kilometrów znajdują się Niemcy i mogą nas dojrzeć.

Te słowa rzuciły iskrę do głębi naszej wyobraźni.

Zdawało się, że za chwilę rzucimy się z bagnetami na wroga, że za chwilę nastąpi jakaś straszna rzeź.

Poczęto więc nabijać karabiny, przygotowywać się do spotkania nieprzyjaciela.

Zwierzchnicy nasi, poczynając od komendanta, a kończąc na kapralu, na froncie znaleźli się pierwszy raz w życiu.

Prócz kilkunastu legionistów Legji cudzoziemskiej, żaden z nas nie był jeszcze w ogniu, nie widział okopów, nie strzelał do żywego człowieka.

Jedynie i wszechmożnie panowała wyobraźnia.

Idąc wzdłuż toru kolejowego, schodziliśmy z niewielkiego wzgórza do miasteczka, które miało wygląd dziwnie senny i znużony.

W miasteczku, zwanem Reilly la Champagne, gdzie pozostali mieszkańcy najczęściej uparci, snuły się dziesiątki żołnierzy, przejeżdżali galopem na zmęczonych koniach gońce z rozkazami, lub raportem.

W jednej z szerszych ulic miasteczka bataljon nasz zatrzymał się. Wysłano kilku żołnierzy w celu zajęcia i urządzenia kwatery dla nas.

Po pewnej chwili wprowadzono kompanję naszą na strych jakiegoś starego domu, gdzie przed wojną suszono winogrona.

Z radością pozbyliśmy się tornistra i karabinu. Pozwolono nam wyjść do miasteczka z warunkiem, że o 10-ej wrócimy

W miasteczku, przez które przeszli Niemcy, wszystko nas zaciekało, każdy szczegół miał dla nas wielkie znaczenie.

Na spotykanych, wybrudzonych żołnierzy patrzyliśmy z jakimś szacunkiem, oni natomiast spoglądali na nasze wyczyszczone ciemne, jeszcze nie wypłowiałe, granatowe szyniele z pogardą i zdziwieniem, że tacy nowi jeszcze istnieją!

Ponieważ byliśmy głodni, poczęliśmy rozpytywać przechodniów o kawarnię lub jadłodajnię. Na nasze pytania odpowiadano nam zdziwieniem, lub słowami:

„Tu pense mon vieux q'tu est à Paris“?

Po długim chodzeniu znaleźliśmy jakąś kobietę, która zgodziła się kupione przez nas mięso usmarzyć, lub ugotować.

Udaliśmy się za kupnem. Prowianty były dość drogie.

Po niespełna godzinie piliśmy wódkę zwaną mar'em, przegryzając ją gorącą kiełbasą.

O dziesiątej już byliśmy na naszym strychu. Spaliśmy na gołych deskach.

O północy niektórzy z nas, którzy jeszcze nie spali, zbudzili śpiących głośnym szeptem.

„Nie spijcież do diabła — słyszycie“?

Zdalek dochodziło długie, ponure, przerywane od czasu do czasu, huczenie armat.

„Atak“! zawyrokował jeden z kolegów.

„Daleko“! uspakajał inny.

Wielu ciekawych poschodziło na dół.

Gdzieś daleko w ciemni migotały czerwone błyski armatnich wystrzałów, widać było drżące pod niebem słabe, magnezjowe światło.

Reszta nocy minęła bezsennie.

Przed południem drugiego dnia bataljon nasz wymaszerował do sąsiedniego miasteczka Mailly la Champagne. Po drodze spotykaliśmy wielkie pa-

ryskie autobusy, teraz zmienione zewnętrznie i przeznaczone do przewożenia żołnierzy. Mijające nas samochody, natłoczone były żołnierzami pułków kolonialnych w czerwonych fezach na głowie. Wszyscy mieli wygląd zmęczony, znużony, ubrania ich były podarte, brudne.

Później jeno dowiedzieliśmy się, że to resztki zwycięskich pułków z bitew pod Marną.

W Mailly podzielono nas na kompanje, później sekcje i sekcjami rozmieszczono po domach, gdzie niedawno mieszkali Niemcy, gdzie później, wczoraj jeszcze, odpoczywali po ciężkich trudach, krwawych walk, strzelcy algerscy, żuawi, senegalczycy.

Zagroda, w której umieszczono drugą, moją sekcję należała do jednego z „szampańskich winiarzy“.

Ojciec rodziny był na wojnie — matka z córką i nieletnim synem zajmowali dwa niewielkie pokoje. Pozostałe dwa oddano sierżantom.

Później, niektórzy szczęśliwi wolontariusze przenieśli się do wytwornych salonów pani, której nazwiska już nie pamiętam. Mówię wytwornych, gdyż reszta kolegów moich nocowała w długiej wjazdowej bramie, na brudnej zakurzonej słomie.

Pierwsze dni schodziły nam bardzo wesoło.

W pośrodku niewielkiego podwórka przygotowywaliśmy obiad, po zapasy do którego chodziliśmy z dwiema gamelami, żołnierskimi kubłami, do sąsiedniej zagrody, w której mieściła się pierwsza sekcja i magazyn kompanji.

Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu codziennie rozdawano nam wódkę, wino i czekoladę. „Na froncie!“ pomyśleliśmy.

Coprawda od frontu byliśmy o dziesięć kilometrów.

Za niewielkie bogactwa nasze kupowaliśmy sobie przysmaki... olbrzymie świeże bułki.

Chleb żołnierski, który dochodził do naszej kompanji już mocno czerstwy, jedliśmy z głodu, lub braku pieniędzy.

Pozatem parę razy pozwoliliśmy sobie na nadzwyczajny wydatek, mianowicie szampańskie

Butelka wina szampańskiego w miasteczku kosztowała dwa franki pięćdziesiąt centymów. Suma jednak na nasze, coraz bardziej próżne kieszenie, była dosyć duża.

Z tyłu za domem była wysoka góra, z której spoglądaliśmy często na rozległy krajobraz. Zabezpieczeni odległością, widzieliśmy, równe spokojne pola, poprzęzynane rzadkimi kępami ciemnych drzew, między którymi co chwila ukazywał się kłęb sinego, lub czarnego dymu.

Staraliśmy się odgadnąć pochodzenie pocisków. Sierżant, który równie mało wiedział, jak my, z wysokości swego stanowiska objaśnił nas, że ciemny dym — to pociski niemieckie, sinawy — francuskie.

Nadzwyczajną atrakcją był areoplan niemiecki, który ukazał się w pogodne jesienne popołudnie nad Mailly.

Widzieliśmy girlandę jasnych, błękitnych dymków nieopodal niemieckiego ptaka i z bijącym sercem czekaliśmy chwili, kiedy, trafiony, upadnie na jedną z ulic, lub domów miasteczka.

Naprzekór jednak naszym chęciom i artylerji francuskiej, aparat niemiecki odleciał w stronę ciemnej, dalekiej linji na horyzoncie.

Widowisko to powtarzało się dosyć często, zawsze jednak bez oczekiwanego skutku.

Byliśmy podobni do zawiedzionego wyżła, którego czujne wystawianie zwierzyny na nic się nie zdało.

Jeden z kolegów wynalazł zajęcie, a mianowicie ostrzenie bagnatów.

Myśl ta wszystkim się podobała i bagnety nasze wyostrzyliśmy do tego stopnia, że końce ich były ostre, jak igły.

Wyostrzone wbijaliśmy w drzewo. „Człowieka na wylot“ mówiono z jakimś nieznany, dziwnym błyskiem w oczach.

Cztery dni spędziliśmy zupełnie bezczynnie: Na ciekawych rozmowach z żołnierzami, którzy od początku wojny byli w okopach, do Mailly zaś przychodzili na krótki tylko odpoczynek. Na wyglądaniu aeroplanów. Na nadsłuchiowaniu przeciągłego huku armat,

Czas wymarszu do okopów zbliżał się — otrzymaliśmy rozkaz trwania w ciągłej gotowości do drogi.

Minęły jeszcze dwa dni bez zmiany. Na trzeci kazano nam zebrać się przed zagrodą.

W pełnym ekwipunku żołnierskim wyprowadzono kompanję naszą do lasu, gdzie kopaliśmy małe okopy t. zw. „tranchées individuelles”. Następne dni, mijały na uciążliwych forsownych ćwiczeniach. Ćwiczenia na froncie zgoła się nam nie podobały.

„Zmęczą, zmęczą, a potem, gdy będzie naprawdę potrzeba — to klapa!” — mówili najbardziej zmęczeni. Wielu z nas dosłownie upadało ze znużenia.

Zbieganie w całym pędzie z gór, następnie wdrapywanie się na nie, wyczerpywało nas okropnie — przeklinaliśmy też każde ćwiczenie.

Właścicielka zagrody, u której kwaterowaliśmy, zachwycała się nami — często też mawiała, że takich żołnierzy jeszcze nie widziała, dziwiła się jednocześnie, że nam tak śpieszno do okopów, które знаła z ciągłego o nich słyszenia.

Pamiętam jedno popołudnie, które dało nam już zupełny przedsmak wojny.

Jeden z kolegów, zaintrygowany nieświadomym, a powtarzanym ruchem własnej ręki, podobnym do częstych ruchów małpy — zrobił dokładną rewizję swej bielizny. Skutek rewizji był taki, że w kilka minut potem wszyscy oglądali najbliższe ciało rzeczy z nadzwyczajnem skupieniem i uwagą.

Jak w sobie, tak i w kolegach zauważyłem, pełne zemsty zbrodnicze instynkty.

Ostatnie odkrycie odebrało nam apetyt, co prawda nie na długo. Na wojnie, jak na wojnie! zawyrokowano i powrócono do zwykłych myśli.

Mimo naszą rezygnację, korzystaliśmy ze wszystkich rad, dawanych nam przez starych żołnierzy: zlewaliśmy więc ciało benzyną, naftą, terpentyną, co wszystko razem nic nie pomagało na mnożące się insekty, a wywoływało zapalenie skóry.

„C'est la richesse d'un soldat” — powiedział nam jakiś stary, doświadczony żołnierz, znoszący z przedziwną obojętnością tak „drobne” rzeczy.

Z każdym dniem stawaliśmy się i my „starszymi i bogatszymi żołnierzami”.

Wieczorem zawiadomiono sekcję naszą, że zrana dnia następnego mamy objąć wartę przy sztabie, jak również strzec wszystkich dróg wjazdowych do miasteczka.

Tę wartę naprawdę pełniliśmy z ogromną gorliwością. Nocą przechodziliśmy puste ulice miasteczka z dumą ludzi, którym powierzono spokój wszystkich mieszkańców.

Pierwszy raz też mieliśmy z rozkazu nabite karabiny, z których wolno nam było strzelać, jeśli ktoś zatrzymywany przez nas nie znałby hasła.

Jakże prosiliśmy los, by naprzeciw naszego wyostrzonego bagnetu zjawili się jakieś wrogie indywiduum.

Podczas warty naszej, jednak nic nadzwyczajnego nie zaszło — cali, cokolwiek zmęczeni, wróciliśmy do naszej zagrody.

Kiedyż pójdziemy do okopów? — pytaliśmy ciągle siebie i wszystkich.

Okopy, które wyobraźnia nasza nam pokazywała, jako rowy, w których się kłęczy lub stoi, miały w sobie coś tajemniczego, jak wszystko nieznanie, pełne nowej — bogatej treści — uśmiechały się do nas wabnie, ponętnie.

W czasie, kiedy najbardziej tęskniliśmy i pragnęliśmy zmiany wrażeń — otrzymaliśmy rozkaz ostatecznego przygotowania do drogi.

O godz. 2-iej w nocy mieliśmy wyruszyć w stronę okopów.

Przygotowania nasze do wymarszu — podobne były do przygotowań ludzi, wybierających się na śmierć w dniu jeszcze nieokreślonym, ale bliskim.

To, co w Bayonnie uważano za konieczne do życia, za niezbędne, teraz wyrzucano z tornistrów. Jedynie starano się zaopatrzyć bidony, napęłnić je koniakiem, lub podobnym mocnym płynem.

Życie nasze zamykaliśmy w wyobraźni naszej w kilku dniach, najwyżej tygodniu. Wówczas miało dla nas to wszystką i jedyną wartość, co mogło być przyjemnem w ostatniej chwili.

Mimo pewien przebiegający ciałem dreszcz, nie było w nas wszystkich cienia strachu, był jeno ten niepokój czekania chwil wypiełgnowanych wyobraźnią, zapalem i marzeniem o promiennej aureoli nad głowami poległych bohaterów.

Po wypiciu kilku butelek szampańskiego, serdecznem pożegnaniu z właścicielką zagrody i jej córką, zaśpiewaliśmy: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Podobało się to widać francuzom, bo ściskali nam ręce z wiarą w nas, w nasze polskie zwycięstwo.

Garstka nasza rosła do rozmiarów polskiego wojska — tyle w niej było wiary, odwagi i wi docznej narodowej miłości.

„Rassamblément“! — krzyknął sierżant.

W cichej, mrokiem otulonej ulicy ustawiliśmy się w dwurząd.

Sierżanci głośno czytali nazwiska.

Z szeregu odpowiadano — present (obecny).

Do kolegi mego najbliższego sąsiada podeszła młoda dziewczyna i z prośbą wyszeptwała za plecami:

„Tu m'ecriras, mon petit? — je t'en supplie“.

Była to córka właścicielki opuszczanego przez nas domu.

„Comptez vous quatre!“ — usłyszeliśmy komendę.

Un, deux, trois, quatre i znów un, deux, powtarzano od lewej ku prawej stronie.

Czwórkami równym krokiem przechodziła pierwsza polska sekcja.

„En avant par quatre — ma...rche.“

Ruszyliśmy śladem idącej na przedzie sekcji.

Całe Mailly powtarzało kroki nasze.

Wyszliśmy na szeroką drogą.

„Pas de route, marche!“ usłyszeliśmy głos sierżanta po gwizdku dowódcy kompanji.

Broń przewieszono przez ramię, rytm kroków rozpadł się.

Od czasu do czasu w odpowiedzi na cichy szept wolontariuszów padało w mrok głośnie „Silence!“ sierżanta

Szliśmy drogą, którą, między po obydwu jej stronach wzniesionemi polami winogron, teraz raczej lasem gołych kołków, przypominała wyschłe koryto rzeczne. Zbliżaliśmy się ku ciemnej niewysokiej linii, kryjącej dalszy widok. Naprzeciw nas blisko pierwszych szeregów wyłonił się kwadratowy lasek.

U stóp młodych cienkich drzewek po krótkiej komendzie: „halte“! — zatrzymaliśmy się. „En ligne face a gauche!“ skomenderowano.

Ustawieni w dwurząd zrzuciliśmy tornistry, ustawiliśmy karabiny w kozły.

Sierżanci powtarzali nam rozkaz zachowania zupełnej ciszy, nie palenia papierosów i nie oddalania się na krok od kompanji.

Trudno było jednak nie palić — to też staraliśmy się zapalić papierosa w jakiś niewidoczny sposób. Chodziło o zapalenie pierwszego. Przykryta polami szynela i czapkami zapalą w chwili zapalania się rzuciła wąską smugą światła. W gromadkę winnych wpadli sierżanci. Zaczęły się ostre uwagi i tłumaczenia.

Dla przekonania nas, jeden z sierżantów powiedział, że jeszcze wczoraj byli tu Niemcy i że jesteśmy zaledwie o kilometr od okopów.

Wszystko to nie przeszkodziło, że od zapalnego papierosa, zapalono i inne i tak aż do zadę-

wolenia wszystkich palących zaciągano się ukrytym w rękawie papierosem.

Na równinie przed laskiem siedzieliśmy długo.

Mrok pierzchał. Coraz bardziej przezroczysta szarość zwlekała się na ziemię.

Drzewa wyłaniały swoje wilgotne pnie z gęstego mrocznego, tkanego nocą płaszcza. Kwadratowy lasek malał, szpetniał w szarobłękitnem świetle poczynającego się dnia. Drobne liście suchotniczych brzošek, koloru gnijących cytryn drżały bezradnie. Naokoło pni stratowana, zaśmiecona papierami i słomą ziemia przypominała podmiejskie miejsca wycieczek.

Między drzewami w szerokich czerwonych szarawarach snuli się zaspani, brudni strzelcy aljerscy.

Muły i nieliczne konie, zdawało się, odczytywały komunikaty oficjalne z poniewierających się na ziemi dzienników.

Zmęczonemi i zawiedzionemi oczyma patrzyliśmy na otaczające nas widoki, nie mogąc pojąć, gdzie my jesteśmy, gdzie jest ten nieprzyjaciel, przed którym trzeba było aż tak bardzo się kryć i milczeć,

Gdy między gęste, anemiczne drzewa wtłoczyły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, oddział nasz ruszył drogą obok lasku.

Nie mieliśmy pojęcia, dokąd idziemy.

Po przejściu kilkuset kroków, zatrzymano nas głośnie: Halt!

W dole, osłoniętym drzewami, ciągnął się rząd piwnic z niewielkimi kwadratowymi otworami, służącymi za wejścia.

Piwnice, raczej lodownie bez lodu, nad brzegiem kanału Aisne — jako nasze domy mieszkalne, wyglądem swoim raczej straszyły, niż zachęcały. Tornistry nasze poukładaliśmy wzdłuż piwnic i od razu z rozkazu kapitana zabraliśmy się do pracy.

Reparowaliśmy załamane dachy, stare nadgniłe podpory drewniane zamienialiśmy nowemi,

Dzień cały zeszedł nam na pracy. Byliśmy prawie pewni, że będą używać nas tylko do podobnych robót przygotowawczych, pomocniczych.

Pod wieczór zobaczyliśmy idące wojska, które szły w kierunku nieznanym nam miejsc, wychodziły zaś z ziemianek, odległych od naszych zaledwie kilkaset kroków.

Do opuszczonych przez nieznane nam wojska lochów dzwigaliśmy manatki swoje. Do mieszkań naszych trzeba było wpełzać, tak niskie i wąskie było wejście. Wewnątrz lochu coraz któryś z nas uderzał głową o podtrzymujące dach belki. Było przeraźliwie ciemno i nisko.

Wreszcie przy świetle lichej kaprałskiej latarni zajęliśmy miejsca.

Zajęliśmy?

Wszystkim by się zdawało, że szesnaście metrów ziemi są aż nadto wyzyskane, gdy na nie ułoży się ośmnaście ciał ludzkich z całym swoim bagażem

Zmartwieliśmy, gdy zzewnątrz wpadły słowa sierżanta, który zupełnie nie żartując, rozkazał nam zrobić miejsce jeszcze na czternastu kolegów. Odpowiedzieliśmy, że jest to obsolutnie niemożliwe.

Dosyć silnym argumentem było powiedzenie, że ziemianka jest przeznaczoną na trzydziestu dwóch ludzi i że zawsze tylu się mieściło.

Zaczęliśmy więc układać tornister przy tornistrze — których w rzeczywistości mieściło się trzydzieści dwa. Przestrzeń zatem zajmowana przez jednego żołnierza nie mogła przewyższać 50 centymetrów.

Na takim pół-metrowem łożu można było spać wtedy tylko, gdy kolano, lub ręka kolegi, nie zapominała się i nie kierowana jakimś wojowniczym snem odpoczywała bez ruchu.

Takich bezwzględnie spokojnie śpiących kolegów było jednak bardzo mało.

Często w nocy budziły śpiących głośnie dialogi w rodzaju:

— Tel Władek—może byś zdjął nogę ze mnie.

— Czego mnie budzisz?

— Zdejm nogę!

— Nie wiem, co ci to przeszkadza.

Albo:

— Gdzieś mi kołdrę ściągnął?

— Kto?

— No ty.

— Ja? Idź do djabła!

Djabłem albo „psią krwią” zwykle kończyły się dialogi w ciemności.

W całym lochu było jedno wejście.

Dlatego też, by wyjść z nocy z ziemianki, trzeba było wykonać cały szereg akrobatycznych ruchów na czworakach. Skradającego się, często jednak goniły przekleństwa, lub ciężkie żołnierskie buty, za nadeptany odcisk lub inną uszkodzoną część ciała.

Ze względu na słomę, jedno wyjście i ciemność, postanowiliśmy nie palić papierosów wewnątrz ziemianek. O postanowieniu zapomnieliśmy jednak już na drugi dzień. Słoma była tak wilgotna, że nie mogło być najmniejszej obawy pożaru.

Dnie schodziły nam na kopaniu nowych ziemianek, przynoszeniu drzewa, słomy, gałęzi.

Od godz. 6-ej wieczorem byliśmy wolni.

Długie jesienne wieczory mijały monotonnie. Pisano listy, opowiadano sprośne anegdoty, robiono jak zwykle domysły, przypuszczenia na przyszłość.

Jednej nocy nad ranem zbudziło nas dolatujące z zewnątrz wołanie „Tout le monde debout!”

„Sacs au dos! Aux armes!”

Zawrzało w ziemiankach...

— Świece, zapalki, latarnie! Dawaj do cholery!

— Prędko! Atak!

— Zapalaj do djabła świece, kaprall

Budzano śpiących, zwijano kołdry, nabijano karabiny „Może Niemcy wzięli pierwszą linię okopów i idą dalej — może już są nad kanałem” — robiliśmy przypuszczenia.

— A jakże! Niemcy nad kanałem i więcej wojska nie ma prócz nas — odpowiadano z niedowierzaniem na przypuszczenia.

— Patrzcie ten śpi jeszcze. Udał się?! Wstawaj! Niemcy!

— Gdzie? — usłyszano zaspany głos.

— Za kanałem — wstawaj psiakrew!

— W Berlinie! Co?! obudzony zaczął się rozglądać, a gdy zauważył, że wszyscy koledzy są już przygotowani do wyjścia — zerwał się i zaczął pośpiesznie składać rzeczy do tornistra.

Coraz wyraźniejszy dolatywał gwar z zewnątrz.

„Sortez“! krzyczeli sierżanci, biegnąc wzdłuż ziemianek.

Jeden za drugim wychodzili gotowi do drogi żołnierze.

Ustawiali się w dwurząd — czekali.

Padał drobny, gęsty deszcz... Szerokie buraczane liście chyliły się leniwie to w jedną, to w drugą stronę. Zdala dochodziły, przedzierając się przez gęste zarośla, karabinowe strzały.

Przypuszczenia nasze rozpływały się w wilgotnym mroku ciemnej nocy.

Cisza dokoła, senne leniwe otoczenie skostniałych drzew, mokre połyskujące liście buraczane, szara dziobata przez deszcz powierzchnia kanału Aisne mgłą kryły obrazy wyobraźni, wciągały w siebie, upodabniały sobie.

Po kilkunastu minutach kazano nam wejść z powrotem i położyć się.

— Komu by się tam teraz chciało atakować, mówił najdłużej śpiący kolega. A wreszcie was noworodków wojennych do ataku — śmieszne tygrysy! — dorzucił gramoląc się na czworakach na swoje legowisko.

Powyjmowano naboje z karabinów, układano się na nowo do snu.

Po tej przerwanej alarmem nocy, minęło kilka spokojnych. Dopiero coś na czwartą alarm się powtórzył — tym razem przed północą. Poważne przy-

gotowania nie pozwalały nam wątpić, że opuścimy, jeśli nie na zawsze, to na długo nasze lepianki, do których już zdążyliśmy się przyzwyczaić.

Ukryci za małym sosnowym laskiem zaopatrywaliśmy nasze torby (musette) w prowianty, bidony napełniliśmy winem.

Przed odejściem kapitan kompanji naszej objaśnił nas, że idziemy zająć pierwszą linię okopów, że w drodze konieczne jest zachowanie zupełnej ciszy i że samo przejście do okopów jest bardzo niebezpiecznem.

Czwórkami szliśmy wzdłuż kanału, aż do szerokiej poprzecznej drogi, przewlekającej się przez drewniany most, a ginącej w gęstych, mrokiem spowitych, zaroślach. Wielki młyn wodny wynurzał z kanału wysoko sylwetę szerokiego dachu aż ponad ciemną koronkę gałązek młodych, drżących brzoź.

Każda czwórka kompanji naszej wybijała takt ciężkimi żołnierskimi butami na drewnianym moście. Zeszliśmy na szeroką błotnistą drogę w gęstwinie.

Rzadkie strzały karabinowe słyhać było coraz wyraźniej.

Od czasu do czasu bzyknęła nad uchem zbłąkana kula.

W Sillery

Wysoki nasyp zagroził drogę. Zatrzymaliśmy się,

Jeden za drugim schodziliśmy w głęboki wąski rów.

Nareszcie okopy — te okopy, o których słuchaliśmy z taką ciekawością od początku wojny, które w wyobraźni widzieliśmy stokroć gorszymi od tych teraz widzianych wygodnych, głębokich, bezpiecznych rowów.

Dziwiło nas, że na przestrzeni, co najmniej pięćset metrów nie spotkaliśmy żywej duszy.

Po kilkudziesięciu minutach marszu linja okopów z prostej przechodziła w zygzakowatą. Częste, nagłe skręty narażały nosy nasze na poważne uszkodzenia o tornister na przedzie idącego kolegi.

Całą uwagę naszą zajął napotkany żołnierz, owinięty w szarą kołdrę, stojący z karabinem przed żelazną tarczą na warcie. Jak duch ponocny z głową zwróconą w jedną stronę, przewiercał ciemność wbitemi w nią oczyma.

Teraz, co chwila zatrzymywaliśmy się. Idących na przedzie kolegów rozmieszczano po mieszkaniach, wyraźniej, wgłębieniach w ziemi, jak płytkich, pochyło kopanych rowach.

Wreszcie i ja z moją „esquade’ą” doszliśmy do miejsca przeznaczenia t. j. do naszego schroniska.

Schroniskiem był ten sam okop-rów, cokolwiek szerszy od zwykłego przejścia, przykryty dachem z desek, na które narzucono grubą warstwę ziemi.

Gdyśmy weszli pod ten prymitywny dach, była jeszcze noc, która nie pozwoliła nam rozejrzeć się i mniej więcej zdać sobie sprawę, gdzie jesteśmy.

Nie pozostawało nic innego, jak rozpakować tornistry, owinać się w kołdry i spać.

W kilka też minut chrapanie śpiących głuszyło rzadkie strzały.

Z wczesnym świtem większa część kolegów nie spała.

Dziwnie bezbarwnie poczynął się szary jesienny dzień.

Obudzeni zaczęliśmy się rozglądać, raczej wyglądać przez małe okienka do strzelania.

Odległe o kilkadziesiąt metrów okopy niemieckie spoglądały na nas czarnymi otworami przyziemnych okienek, podobnymi do ślepi chciwego potwora.

Z jaką radością zaczęliśmy strzelać w ten rząd ciemnych punktów nad ziemią — trudno powiedzieć,

Wszyscy robili wrażenie młodych chłopców, którym powierzono coś ważnego, a w ręce dano narzędzie śmierci. Strzelaliśmy bez przerwy. Niestety, nie mogliśmy sprawdzić rezultatu naszych strzałów

Pamiętam, moją radość, gdy nad głową zobaczyłem jastrzębia — był to jedyny widoczny wróg, do którego mierzyłem z wstrzymanym oddechem. Po strzale niemile rozczerowany widziałem jastrzębia odlatującego w stronę, załzawionego jesienną mgłą lasu.

Dla urozmaicenia strzelaliśmy salwami, mierząc w jeden umówiony otwór. Strzały nasze widać osiągały pożądany skutek, nagle bowiem z przeciwnych okopów posypała się gęsta odpowiedź.

Słyszeliśmy nad głowami z sykiem przelatujące kule niemieckie.

Niemcy strzelali bardzo celnie. Punktem do którego celowali co parę sekund, było okienko nad wejściem do naszego schroniska. Słup podtrzymujący dach, stojący wewnątrz ziemianki na wprost wspomnianego otworu był kompletnie postrzępiony kulami.

Każdą głucho uderzającą w gruby sosnowy pień witano uwagami. „Cholera — znów! Swoją drogą oni dobrze biją. Widać mają nastawione karabiny“.

W długim granatowym płaszczu z laską w ręce przyszedł kapitan, staruszek przyszedł z uwagami, że zachowujemy się jak dzieci, że zupełnie na próżno narażamy się na niebezpieczeństwo. Po obejrzeniu naszego locum odszedł.

Zauważyliśmy, że się zmienił, zmieknął, stał się bardziej serdecznym.

Pierwszą smutną nowiną była rana kolegi Kostrzewy, który należał do pierwszej sekcji polskiej. Rana jednak była dosyć lekka — kula prze-

szła lewą rękę, co niczem poważnem nie groziło. Nieoczekiwanym i ciężkim ciosem dla wszystkich była śmierć porucznika Doumic'a.

Porucznik został zabity w chwili, kiedy ostrzegał jednego z kolegów, stojących na warcie, przed niebezpieczeństwem wychylania się ponad nasyp. Rażony w szyję, padł martwy na miejscu.

Śmierć zacnego porucznika przygłuszyła naszą beztroską wesołość. Żal zabitego i groźba wisząca nad kolegami, nakazały nam powagę.

O, jakże ciężkiem było wrażenie, kiedy niesiono ciało porucznika. Wąskie zakręty nie pozwalały nieść ciała wewnątrz okopu. Niosący często byli zmuszeni wyrzucać trupa na nasyp, poczem przepychać go dalej długimi drągami. Ze względu na częste skręty, czynność ta powtarzała się co kilka metrów.

Z jaką radością zobaczyliśmy o późnym wieczorze, że nisko nad ziemią pochyleni niemcy nieśli ciała rannych, może zabitych.

Wszyscy bez wyjątku chcieliśmy strzelać w ten pogrzebowy pochód — ledwie zdołano nas powstrzymać.

Dziś się pytam jeszcze, skąd się wzięła ta bezwzględność w naturach najbardziej miękkich i subtelnych? Skąd ta zdecydowana żądza krwi u ludzi, którzy kilka miesięcy temu bledli na jej widok?

Wojna! Węzeł sentymentu i dzikiej krwawej bezwzględności.

Resztę pierwszego naszego dnia w okopach spędziliśmy na poznawaniu otaczających nas szczegółów.

Na noc przygotowaliśmy masę naboju i na umówiony między nami znak poczęliśmy strzelać gęstemi salwami.

Ogień nasz zaniepokoił Niemców, którzy sądząc, że są atakowani, puścili w ruch mitraljezy, strzelając też bez przerwy i z karabinów.

Ta żywa z ich strony odpowiedź uspokoiła nas trochę ze względu na karę, jaką mogliśmy otrzymać od kapitana.

Podczas naszego pobytu zabitym został adiutant kompanji, ciężko rannych było dwóch Czechów, odłamkiem granatu także został raniony Holender Weber.

Weber szedł z rozkazem do kapitana, kiedy odłamki granatu ugodziły go w piersi. Mimo ciężką ranę, dowłókł się do kapitana i rozkaz wręczył.

Na trzeci dzień otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do drogi.

Po północy opuszczaliśmy okopy Sillery.

Szliśmy wzdłuż znanego nam kanału Aisne — dokąd jednak — nie mieliśmy pojęcia.

Żołnierz na wojnie staje się podczłowiekiem, nigdy nie wiedzącym dokąd idzie, dlaczego biegnie, gdzie będzie spał, czy i co będzie jadł i co będzie za chwilę robił. Jedno wie, że zawsze i wszędzie ma być do wszystkiego i na wszystko gotowym.

Ta zupełna nieświadomość treści chwili nadchodzącej, bezplanowość osobista, najwięcej męczą w pierwszym okresie wojaczki, kiedy wyobraźnia nie jest jeszcze zupełnie przytępiona.

Z nad kanału wydostaliśmy się na błotnistą drogę między wysokie, już bezlistne drzewa.

Tu kompanję naszą zatrzymano dla odpoczynku.

Dziesięć minutowe odpoczynki są napewno jedną z największych rozkoszy żołnierskich. Z jaką niewysłowioną przyjemnością ustawia się w kozły ciężkie karabiny, zrzuca w błoto pięćdziesiąć kilowy tornister, a potem kładzie się, byle gdzie, w grząskie błoto, na kamienie — byle całem, zmęczonem ciałem.

Po odpoczynku ruszyliśmy dalej. Szliśmy w milczeniu, z trudem wlokąc znużone nogi.

Trzy minione doby nowych wrażeń. bezsenność wyczerpały nasze siły — szliśmy przez postawienie woli całej gromady.

Przy końcu drogi słabo zarysowały się jasne ściany domów na tle gęstego wilgotnego mroku listopadowej nocy.

Wchodziliśmy w ulicę małego miasteczka Prunay.

Prunay przedstawiało widok okropny. Ani jednego domu, jednej ściany całej. Wszystko poszarpane, porwane, w ruinach. Połamane drzewa, tysiącnie podziurawione ściany, wreszcie pogiete blaszane szyldy przywołujące przechodniów do restauracji z salą na zabawy, bale i ucztę weselne — uśmiechały się ironicznie, złym, bolesnym śmiechem.

Na każdym rogu pustej głuchej uliczki czuwali wartownicy.

Czerwony krzyż na białym od góry złamanym murze, zdawał się być żywą znaczoną krwią. „*Poste de secours*“.

Z piwnicy wydobywa się nieostrożny cienki promień światła świecy — kładzie się na gruzach — żyje i wabi oczy przechodzących — ciemnych, uzbrojonych nocnych duchów.

Mijamy umarłe miasteczko — przechodzimy tor kolejowy. Dół wyrwany pociskiem — obok wpoprzek leżąca zardzewiała szyna.

Za plantem wąska ścieżka pochyla się w ciemny rów, gdyby w rozwartą ziemię.

Gęsiego jeden za drugim schodzimy do okopu.

Między wysokimi ścianami wąskiego rowu idziemy zdaje się bez końca. Zupełnie bez sił, dochodzimy do małego brzoźowego lasku. Wychodzimy na jakąś szeroką szosę.

Zasłonięci gęsto rosnącymi brzoźkami, ustawiamy się w dwurząd. Jak z pod ziemi wychodzą milczący żołnierze, przechodzą koło nas, wreszcie giną w ciemnym rowie, z którego przed chwilą wyszła reszta kolegów.

Na prawo długi czerwony budynek, bez dachu, okien, podziurawiony — beznadziejnie spogląda na dwie sylwety wieżyc kościoła w Prunay.

W okopach Starej Markizy

Schodzimy do okopu. Mijamy cienkie jasne brzoźki, oczy biegnące po równinie wygrzebują z mroku nasypy niemieckich okopów.

Stajemy. Sierżanci rozmieszczają nas po małych ziemiankach. Rozpacz z braku miejsca. Il fant se d... jak mówią legjoniści. Na trzymetrowej przestrzeni układamy się jeden przy drugim, ośmiu. Umówione — wszyscy na prawy bok. Spimy.

Oto bez przebudzenia przespaliśmy kilka godzin. — „Eh kawa! Wstawać!” — krzyczą kucharze. Każdy ze swoim „karem” (blaszaną filiżanką) śpieszy po trochę czarnej lurki.

Śniadanie. Po niem rozglądamy się przy świetle dnia w otaczających nas rzeczach, szczegółach, miejscach.

Okopy są czyste, porządne — nawet wygodne, niema porównania z tymi w Sillery. Sekcja moja — druga, umieszczona pośrodku zajmuje przestrzeń pięciuset metrów.

Z lewej strony naszej linii obronnej znajduje się trzecia sekcja położona pod prostym kątem — przedłużeniem linii obrony trzeciej sekcji jest wysunięciem naprzód miejscem t. zw. poste-d'ecoute.

Poste-d'ecoute znajduje się w małym brzożowym lasku. Po prawej stronie mojej sekcji znajduje się pierwsza sekcja, skryta kępą ciemnych, starych świerków.

Od środka naszej linii idzie długi, głęboki i kręty okop, który prowadzi do kuchni i na Markizę. Tak nazwany został na poły rozwalony, muryrowany dom w piwnicach, którego mieści się posterunek lekarski, kwatera komendanta, biuro kompanji i magazyn.

Niegdyś podwórze, dziś zawałone gruzami miejsce przed Markizą ze studnią pośrodku, jest dla nas punktem doniosłej wartości.

Zdaje się, niepotrzebna, snuje się przed oczodołami po wybitych, niegdyś żyjących oczach Markizy — gładka, jasna szosa.

Za nią cmentarz. Kilkanaście mogił żołnierzy z wetkniętymi w nie drewnianymi, na prędcie zrobionymi krzyżami.

Cały ranek zwiedzamy nasze, prawie, że miasteczko.

Wąskie między nasypami ścieżki, przypominają ulice.

Dzień z łaskawem słońcem pokazuje nam wszystko otaczające w dobrym pogodnym świetle.

Nie zwracamy uwagi na przelatujące nad głowami kule, czujemy się jak dzieci, które nocą wprowadza siwobrody starzec, gdzieś w nieznane krainy wrażeń i tajemnic.

— „E, tu jest zupełnie dobrze!” — coraz słyszy się słowa kolegów.

Naprzeciw nas, daleko, może o jakie czterysta metrów, linja niemiecka. Przed nią niewielki, ale tak bardzo ciemny, sosnowy lasek.

— Oni tam pewno mają swoje poste-d'ecoute — robi uwagę jeden z kolegów.

Mały lasek staje się jeszcze bardziej czarnym, oddalonym, nieprzejrzanym.

Godzina dziesiąta — sześciu nas idzie po „wiwry”¹⁾ do magazynu.

W Markizie dostajemy ser, wino, sardynki, czekoladę.

Przyniesione zapasy sierżant dzieli między esquade'y²⁾ następnie kaprale dzielą na pojedyncze części.

Wszystkiego dostaje się w bardzo szczupłej ilości, razem jednak stanowi zupełnie wystarczającą porcję na śniadanie dla jednego człowieka, tembardziej, że o godzinie 11-ej i pół jemy gorące śniadanie.

¹⁾ Wiwry — francuski vivre — spolszczone przez legjonistów, jak wiele słów, którym nadano brzmienie polskie.

²⁾ Czwarta część sekcji składająca się z 14—16 żołnierzy.

Śniadanie składa się z zupy, kawałka mięsa i jarzyny.

Nikt się nie skarży na brak apetytu — porcje znikają w mgnieniu oka.

Gamelle¹⁾ szybko opróżniona myje się zaraz po jedzeniu — myje, to znaczy, wyciera się do sucha, skórą chleba.

Kolejno w porządku nazwisk znajdujących się na liście sierżanta, idziemy na wartę.

Zajęcia rozłożone w następujący sposób: Pierwsza esquade przeznaczona na wartę, uwolniona bywa od wszelkich innych zajęć — następne trzy pozostają do rozporządzenia, a więc: kopania okopów, chodzenia po zapasy żywności dla całej kompanji, patrole i t. p.

Podczas dnia jedynym posterunkiem dla warty było poste — d'ecoute w lasu — nocą natomiast trzy.

Pierwszy dzień nasz w okopach Prunay minął zupełnie spokojnie, nawet wesoło.

Nazajutrz zbudzono nas wcześniej i wyznaczono pracę. — Poglębialiśmy okopy. Łopatami i kilofami pracowaliśmy do dziesiątej. Choć pracowaliśmy z zapałem, wyniki jednak pracy naszej były niewielkie ze względu na naszą zupełną nieumiejętność i nieznajomość podobnej specjalności.

O godz. 1-ej i pół popołudniu, gdy po odpoczynku zabieraliśmy się do pracy, z świstem nadleciały pociski niemieckie, pękające to przed, to za naszymi okopami.

Grzmocenie w nas nie trwające dłużej niż pół godziny, już nie to, że nie budziło najmniejszego lęku, lecz było dla nas bardzo przyjemną atrakcją. Bombardowanie przeszło bez żadnych złych skutków, nikogo bowiem nie raniło.

¹⁾ Gamelle — blaszane naczynie żołnierskie z pokrywą, w którym można także i gotować, ma każdy żołnierz i nosi przytroczone do tornistra, (Spolszczono — Gamela).

Następne dni schodziły nam na prace, pogłębiania okopów, kopania rynsztoków, któremi spływała woda, gromadząca się na ścieżkach i t. p. Nie sztelaliśmy prawie zupełnie, było to poniekąd rodzajem pogardy dla naszych nieprzyjaciół, strzelających bez przerwy.

Bombardowanie naszych okopów powtarzało się codziennie o jednej i tej samej godzinie — było dla nas ciągle jeszcze rozrywką, która od początku naszego pobytu w okopach nikogo nie skrzywdziła.

W przeciągu kilkunastu dni Niemcy, wyrzucając do stu pocisków dziennie, żadnego z nas nie ranili.

Po szesnastu dniach naszej bytności w okopach pierwszej linii — nocą przeszliśmy nad kanał Aisne na odpoczynek.

W ziemiankach nad kanałem mieliśmy bardzo dużo zajęcia z doprowadzeniem rzeczy naszych do porządku.

Wszystko, poczynając od butów, a kończąc na karabinach wymagało starannego czyszczenia. Czas jednak schodził nam dosyć szybko. Po sześciu dniach odpoczynku wróciliśmy do okopów Prunay.

Ten pobyt w okopach mniej był dla nas szczęśliwy.

Pewnego popołudnia Niemcy zaczęli wprost zarzucać okopy nasze różnego kalibru pociskami.

Jeden z większych granatów trafił w grupę żołnierzy; wszyscy z nich otrzymali bardzo ciężkie rany. Ranni przez dłuższą chwilę zostawali bez pomocy, ciągle bowiem nadlatujące pociski utrudniały ratunek.

Młody sierżant czwartej sekcji, który przez kilka minut leżał nieprzytomny we krwi, zerwał się i począł krzyczeć: „Vive la France”.

Twarz sierżanta była zupełnie niewidoczną, zerwana skóra z czoła i części twarzy, czerwona, krwawiąca zwisała aż na szyję. Gdy go prowadzono na Markizę — śpiewał Marsyljanekę.

Młody, zaledwie dwudziestoletni, ten bohater był żołnierzem Legji Cudzoziemskiej, dokąd wstąpił w 16 roku życia.

Mayac, nazwisko sierżanta, został przedstawiony przez kapitana naszego do medalu wojkowego.

Trzech pozostałych rannych również odprowadzono na posterunek opatrunkowy do piwnic Markizy, skąd nocą zostali odesłani do szpitala.

Wypadek powyższy przynębił nas i pociski zaczęły robić na nas wrażenie, tembardziej, że rannych było z każdym dniem więcej.

Do zwykłych naszych zajęć przybyła nam nocna praca zakładania drutów kolczastych przed okopami.

Wyjście z okopów, głównie pierwsze, robi na żołnierza tzw. „bleu” wrażenie, jakby odarcia jednostki z jego pewności siebie, pozbawienia go siły. Wyrabia jednak w młodym żołnierzu rezygnację, która jest niezbędną na wojnie.

Do okopów naszych przyzwyczailiśmy się do tego stopnia, że często w nocy zatrzymani przez wartowników, drwiliśmy z ich gorliwości.

Podług regulaminu, gdy wartownik słyszy kroki, powinien krzyczeć „Halte-là”, a po chwili „Qui vive?” Jeśli nadchodzący nie odzywa się, wartownik jeszcze raz pyta pełnym głosem „Qui vive” „Halte-là”, gdy jednak i za drugim razem zostaje bez odpowiedzi — nabija karabin, przytem grozi, że będzie strzelał. Gdy jednak nadchodzący na pytanie „Qui vive?” odpowie — wtedy wartownik woła: „Avance au rallignement”, trzymając bagnet na wysokości ludzkiej piersi.

Obcy zbliża się na długość karabinu z bagnetem, skąd szeptem mówi wartownikowi hasło. Wtedy tylko zostaje przepuszczanym. Hasło zmienia się codziennie.

U nas jednak odbywała się cała ta ceremonia po domowemu.

Gdy stojący na warcie zatrzymywał głośnym „Halte-là”, odpowiadano mu przeważnie: „Idź do diabła”, albo jak u drzwi kolegi „Cicho — to ja Janek!”

Z całą jednak surowością zatrzymywaliśmy władzę naszą, która musiała się długo legitymować, zanim została przepuszczona.

Wogóle, ze względu na życie się wspólne wszystkich, zmiana warty odbywała się aż nadto prosto. Przychodziło się na posterunek i do schodzących żołnierzy kolegów mówiło się: „No idźcie spać.”

Podług regulaminu zmiana warty jest bardziej skomplikowaną. Zmiana, jak również schodzący z posterunku prezentują broń, powierzają hasło, mówią czego i jak należy strzec, prócz tego ustępujący powinni opowiedzieć wszystko, co podczas ich czuwania zauważyli, widzieli, lub słyszeli.

„Patrz, tam na lewo, tam się coś czerni!” Powiedziano czasem, przeważnie jednak: „Było zupełnie cicho i nic nie widać”.

Okopy Prunay stały się takim polskim kątem na froncie francuskim, gdzie język słyszało się tylko polski...

Następne dni mijały spokojnie — przerywało je jedynie popołudniowe bombardowanie.

Dwutygodniowy pobyt nasz w okopach skończył się wymaszerowaniem kompanji do małego, pięknie położonego miasteczka Verzonay.

W Verzonay umieszczono nas w domach wielkich winnic. Domy te, przeznaczone dla robotników zbierających winne grona, posiadały wszelki, od dawna niewidziany przez nas komfort, mianowicie: Sale były tak wysokie, że nie potrzeba było się nachylać, ani wchodząc, ani wychodząc — przeciwnie, można było stać, chodzić zupełnie wyprostowanym. Po za tem w całym domu były okna z szybami. Do spania były specjalne nary ze świeżą słomą. Na podwórzu była wielka studnia. Jednem

słowem, było wszystko, o czem może zamarzyć żołnierz po kilkotygodniowym pobycie w okopach.

Z jaką niewypowiedzianą rozkoszą zdejmowaliśmy ciężkie, żołnierskie buty pierwszy raz po kilku tygodniach, nieustannego w nich pozostawiania!

Gdyby nas nie obudzono, spalibyśmy ze trzy doby bez przerwy.

Odpoczynek nasz jednak nie zapowiadał się nawet w części tak pięknie, jak sądziliśmy. O godzinie ósmej rano zapowiedziano nam rewję karabinów przez szefa sekcji. Przegląd wyznaczono na godz. trzecią popołudniu. Karabin musiał być zupełnie rozebrany, każda najmniejsza część jego wyczyszczona i ułożona na płótnie od namiotu.

Wyczyszczenie karabinu systemu Lebel'a, ze względu na skomplikowany mechanizm, jest dosyć trudne i uciążliwe. To też cały ranek spędziliśmy na oczyszczaniu każdego szczegółu.

Od godziny 2 p. p. układaliśmy, każdy na swoim legowisku, błyszczące części karabinu.

„Garde a Vous!” rozległ się głos sierżanta, oznajmiający wejście adjutanta, mającego robić przegląd.

Adjutant szybko obszedł salę, tu i ówdzie spojrzął — nie chwalił, nie ganił — wyszedł.

Inaczej się rzecz miała, gdyśmy usłyszeli głośnie: „A vos rangs fix!”¹⁾ poczem ujrzelśmy naszego staruszka — kapitana. Zdjęliśmy czapki — staliśmy nieruchomo.

„Repos”²⁾ rzucił kapitan, poczem zabrał się do oglądania broni. Staruszek robił przegląd z widoczną lubością, każdy szczegół kilkakrotnie obracał, mruczając coś pod nosem. Rzadko chwalił, zadowolonia swego wogóle staruszek nie lubił pokazywać. Biada natomiast, gdy znalazł coś nie w po-

¹⁾ A vos rangs-fix! Znaczy: Na miejsce — nieruchomo! Powyższe słowa krzyczy się przy wejściu tzw. starszego oficera — wszyscy wówczas obnażają głowy.

²⁾ Odpoczynek.

rzędu, złościł się, często powtarzając: „karabin dla żołnierza — to wszystko, to jego żona, kochanka, wszystko — trzeba to zrozumieć, wiedzieć i dbać, dbać!”

Stary kapitan miał zwyczaj, często spotykany u ludzi starszych, powtarzania kilka razy słowa, a to może dla podkreślenia go, wbicia w pamięć słuchającego. Gdy czasem winny niebacznie coś odpowiedział — staruszek, odchodząc, twarz krzywił, mówiąc: „Mais taisez Vous!” (Ależ milczcie!)

Po przeglądzie zaczęto się przygotowywać do wyjścia i popatrzenia na cywilnych. Cywilny dla nas był rzadkością, czemś zapomnianym, odgrzebanym z pod kurzu, nie człowiekiem.

Po piątej wyszliśmy do miasteczka.

Przeważającą ilość mieszkańców Verzonay stanowili żołnierze. Ci albo przesiadywali w kawiarniach, albo włóczyli się po ulicach bez żadnego określonego celu. Właściwie, niewiadomo było, jak wyzyskać czas wolny od piątej do dziewiątej wieczorem, tj. do godziny apelu.

Diżurny sierżant wszedł na salę.

„Silence à appel” krzyczał towarzyszący mu kapral. Szefowie escoude kolejno podchodzili do sierżanta, raportując: „Tout le monde présent!” Po apelu jeszcze godzinę dokazywano, śpiewano chórem. O godzinie dziesiątej zgaszono światło.

Nazajutrz rano sierżant oznajmił nam, że o trzeciej popołudniu odbędzie się przegląd ubrania przez kapitana. Wszystko ma być wyczyszczone, zreparowane. Znow więc cały dzień czyszczenia, trzepania, szycia. A o trzeciej prezentowanie się przodem, tyłem, przed uważnie oglądającymi oczyma dowódcy krmpanji.

O piątej rewja butów, które trzeba było wyczyścić wewnątrz i zewnątrz, poczem natrzeć specjalnym tłuszczem.

Dziwię się kapitanowi, który bez zmęczenia szczegółowo oglądał wszystkie części garderoby dwustu pięćdziesięciu żołnierzy.

Na trzeci dzień naszego pobytu w Verzonay odbył się ogląd „revue de details”¹⁾ drobiazgów, t. j. żywności, zapasowej bielizny, piętnastu paczek nabojów, gameli, pasków, bidonów¹⁾, torb, ładownic i t. p.

Brakujące rzeczy kompletowano w magazynie, co nie obchodziło się bez narzekania starszka. Na czwarty i piąty „wolny” dzień nasz w miasteczku zapowiedziano w raporcie dwa nocne marsze wojskowe.

O godzinie dziesiątej wieczorem wyprowadzono kompanję moją na trzydziestokilometrowe marsze. Co godzina drogi odpoczywaliśmy dziesięć minut. Górzysty teren, a przytem noc kazały nam przeklinać nie tylko marsz, ale cały nasz „odpoczynek”, który był jednym wielkiem zmęczeniem. Stokroć razy czuliśmy się lepiej w okopach Prunay, niż zdala od frontu, w mieście.

Siódnego dnia maszerowaliśmy do znajomych nam już nor nad kanałem.

Nad kanałem, co prawda, nie bardzo zapędzano nas do pracy, za to mieliśmy ustawiczne „rassemblement”²⁾ sekcji... Dla zamiecenia drogi przed ziemiankami — „rassemblement”, dla przyniesienia wody — „rassemblement”, przyniesienia drzewa — „rassemblement”. Jednym słowem, nie było możliwości napisania listu, zaczęcia rozmowy, by jakieś nowe „rassemblement” nie kazało nam przerwać zaczętej pracy w najciekawszym miejscu i ustawia się w dwurząd. Jakże bardzo cieszyliśmy się, kiedy nocą powracaliśmy do znanych ziemianek w okopach!..

Wiedzieliśmy, że tu nie będzie żadnych rewii, ani marszów. Okopy posiadały dla nas jeszcze pewien urok wojenny, którego stanowczo nie znajdowaliśmy w przygnębiających nas norach nad kanałem.

¹⁾ Bidon, blaszana butelka żołnierska, obszyta granatowym suknem.

²⁾ Rassemblement — Zbiórka.

Parę słów o naszym wzajemnym stosunku koleżeńskim. Dla każdego z kolegów oddział polski był czemś bliskim, świętym, doskonałym. Na oddział polski nie wolno było, ani powiedzieć nic złego, ani popatrzeć nań źle.

O doskonałości oddziału naszego byliśmy najzupełniej przekonani i niezachwianie weń wierzyliśmy.

Cała ta garść polaków była jakby otoczona żelaznym kręgiem naszej miłości narodowej.

Wewnątrz tego kręgu wszystko już miało charakter osobny, tylko i wyłącznie nasz. Drobne, czy poważne zatargi momentalnie cichły, gdy ktoś obcy próbował się wmieszać, lub sądzić.

Prócz tego dzieliliśmy się na grupy przypadkowo stworzone przez podział na sekcje i escouade'y.

Każda poszczególna sekcja polska była w jej oczach lepszą od innej, dalej — każda escouade wyżej stojącą pod każdym względem od pozostałych.

Najciaśniej związani przyjaźnią byli zwykle mieszkańcy jednej ziemianki. O lepszy kąsek mięsa dla kolegów z wspólnego lochu walczone zawzięcie. Tak było ze wszystkim.

Ciekawe było życie nasze w ziemiankach, głównie noc, która była czemś, o czym ludzie cywilni nie mają wyobrażenia i pojęcia.

Noce nie zajęte przez wartę, często bardzo mieliśmy zupełnie wolne, zaraz po przyniesieniu żywności do magazynu w czerwonym domu.

Od godz. jedenastej zabieraliśmy się do snu. Po wypaleniu papierosów, gawędzie na temat wypadków dnia, kolega w głębi ziemianki układał się pierwszy, ma się rozumieć na jakiś umówiony zgóry bok, potem następny kolejno, aż do ostatniego, t. j. tego, który leżał przy wejściu.

Gdy już wszyscy ułożyli się, gaszono światło i natychmiast zasypiano. Mimo ciasnotę, częstokroć chłód, lub wpadający zzewnątrz deszcz, spanoby noc całą bez przebudzenia, gdyby nie wszy. One były tą nie do zwalczenia plagą, dopro-

wadzącą nas do rozpacz. Gdy jeden z wrażliwych kolegów wykonał jakiś gwałtowny ruch, wywołany swędzeniem nie do wytrzymania, budził wszystkich. Przebudzeni siadali i przy zapalonej świecy rozpoczynali polowanie.

Po względem zaspokojeniu swych pragnień, wypaleniu papierosów układano się na nowo. Czasem podczas nocy polowanie odbywało się kilka razy. Dochodziło do tego, że przed snem wszyscy przyrzekali nie poruszyć się, „żeby tam nie wiem co!.. „nie wiem jak!“. Nie zawsze jednak dotrzymywano przyrzeczenia.

Bywały omyłki, że ktoś w rozdrażnieniu i swoim rozpędzie myśliwskim polował nie na swoim terytorjum. Żywe protesty przyjaciela w ciasnym ciemnym lochu sięgały często najniewinniejszych, dalej leżących kolegów.

Zauważyłem, że żołnierz w okopach, prawie nigdy nie siedzi. Rzadko chodzi, wiele stoi, resztę leży. Nizkie lochy nie pozwalają na względne choć wyprostowanie się podczas siedzenia, co męczy i bynajmniej nie jest odpoczynkiem. Stąd, gdy się raz weszło do ziemianki, natychmiast układano się na wznak i... zasypiano.

Po paru tygodniach pobytu w okopach Prunay spytano, kto chce z nas pójść w nocy na ochotnika, na patrol. Patrol ma na celu obejście całej przestrzeni między okopami i sprawdzenia, czy nieprzyjaciel nie zamierza jakiejś niebezpiecznej dla naszych okopów pracy.

Patrole są także po to, by podczas swej nocnej wycieczki schwytać i żywym przyprowadzić jeńca, od którego można by było zasięgnąć języka.

Ochotników znalazło się za dużo. O godzinie dziesiątej w nocy, kilkunastu wolontaryuszów bez szyneli, z założonymi na karabin bagnetami przechodzili wąską, tajemną ścieżką między drutami w stronę okopów niemieckich. Warta została uprzedzona, że wyszedł patrol i strzelać nie wolno. Pozostali w okopach koledzy wyobrażali sobie, że uczestnicy nocnej

wycieczki napewno nie wrócą wszyscy. Po północy jednak cali i zdrowi schodzili na poste d'ecoute do wąskiego głębokiego rowu wszyscy, którzy brali udział w wyprawie. Oprócz patroli co noc dwie escouade'y wychodziły na t. zw. embuscade'e¹⁾. Kilkunastu żołnierzy podchodziło blisko linii nieprzyjaciela i tam, kryjąc się albo w brudzie, albo za czymś ponad powierzchnię ziemi się wznosząc, leżeli od 3—5 godzin.

Miejscem zwykłym dla naszych zasadzek było ściernisko, na którym oddawna leżały na pół już zgniłe snopki owsa.

Leżąc za nimi, czasem podczas deszczu i śniegu przez kilka godzin zrzędu, wypatrywaliśmy wrogich sylwet, które jednak nie zawsze się ukazywały na horyzoncie. Podczas jednej z embuscade, leżąc za znakami nam już snopkami, zobaczyłem szeroki płomień światła, idący z za okopów niemieckich. Po chwili długi szeroki promień, błyskawicznie upadł na ziemię, po której zaczął wolno, równo pełzać. Doszedł do snopków, jednego naszego ukrycia, przebiegł dalej, poczem wrócił i zaczął drzeć, jakby radośnie trzymając nas w swoim ślepiącym świetle. Miałem wrażenie, że jestem złapany na gorącej przewinie. Całą wiarę i nadzieję ocalenia kładłem w te wątle obojętne na mój lęk snopki, które jakby rade światłu rozżłociły każdą wilgotną słomkę blaskiem i zadowoleniem.

Po krótkiej chwili, która jednak, aż nadto się dłużyła, promień świetlny zniknął. Posypały się strzały. Przywarliśmy zupełnie do ziemi, twarze wtuliśmy w wilgotną, miękką glinę.

Słyszałem parę razy, przelatującą nad głową kulę, która zatrzymywała się nad snopkiem, tylko chyba dla rzucenia w nadsluchujące ucho moje swoje „tssynk“.

¹⁾ Embuscade — zasadzka — czas embusquer — kryć, zatać się, być ukrytym za czymś.

Szerog salw niemieckich nikogo w rezultacie nie ranił, natomiast nastraszył. Głównie nabawił nas lęku reflektor.

Rezultatem codziennych zasadzek był jeniec Polak ze Śląska G. Byłby zapewne wszedł nam na głowy, gdyby nie sierżant, który głośnym szeptem skomenderował "chargez" nabijcie broń (raczej z magazynu, lub łożyska wprowadzić kule do lufy).

Kilkanaście pod komendą poruszonych zamków, stąd głośny chrzęst, nastraszyły niebawalej wprost wielkości polskiego chłopca z armji niemieckiej. Rzucił karabin, ręce wznosił do góry i poddał się. Słyszac wkoło siebie polską rozmowę zupełnie szczerze nas spytał:

"Czy daleko Warszawa i że go.. psiekrwie oszukali, bo mówili, że on na Francuzów idzie".

Jako jeden z najlepszych strzelców kompanji naszej zostałem wybrany wraz z innymi trzema kolegami na punkt obserwacyjny.

Codziennie o 6-ej rano zaopatrzeni w wielką lunetę zajmowaliśmy miejsca na poste-decoute.

Czynność nasza polegała na tem, by do każdego niebacznie, czy umyślnie wychylającego się Niemca strzelać.

Jeden z nas patrzył przez lunetę wzdłuż okopów niemieckich, gdy dostrzegł wystawioną ponad nasyp głowę, lub korpus Niemca, dokładnie określał nam punkt, do którego salwą strzelaliśmy. Często po strzale obserwujący mówił z zadowoleniem: "Zleciał!" Na ile jednak było to prawdą, trudno się było przekonać. Na posterunku zostawaliśmy po trzynastu godzin na dobę, co jednak zupełnie nas nie męczyło — przeciwnie pozwalało w nocy spać spokojnie do rana.

Samo stanie na punkcie obserwacyjnym było bardzo przyjemne i urozmaicone, Znużeni czasem próżnem wypatrywaniem, strzelaliśmy do królików lub kuropatw. Zabite — nocą przynosiliśmy do okopów.

Podczas omawianego właśnie okresu naszego

pobytu w okopach Prunay z ziemianką, w której mieszkałem, stał się spodziewany, groźny, bardzo jednak szczęśliwie zakończony dla mieszkańców wypadek.

Współlokatorami moimi byli: S. Szejtkeller, W. Liszewski, Dobrowolski, Trzebiatowski, Wiweger. Wszyscy wyżej wymienieni, jako żołnierze jednej escouade'y w nocy pracowali nad kopaniem nowych okopów, podchodzących bliżej linii nieprzyjaciela. Nad ranem wrócili do ziemianki, gdzie po pewnej chwili zmęczeni zasnęli. O godzinie ósmej bez widocznego powodu wszyscy się obudzili i zaczęli gwałzić.

Nagle rozległ się świst i nieopodal ziemianki uderzył pocisk niemiecki. Bez żadnej wytłumaczonej, ze względu na codzienne bombardowanie, przyczyny, najgłębiej siedzący Wiweger wyskoczył z ziemianki do okopu, za nim, nie zdając sobie sprawy dlaczego, wybiegła reszta kolegów. Zaledwie zdążył wybiec ostatni, gdy mieszkanie nasze zostało zawałone pociskiem trafiającym w sam środek ziemianki.

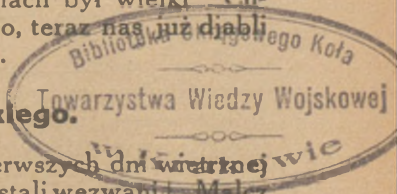
Opatrność?! Przeczucie?!

Pod ziemią, załamaniem deskami, znaleziono rzeczy nasze: karabiny, szynel, tornistry doszczętnie zniszczone. Jak się wyraził sierżant: „wystarczyłoby, gdyby nie wyszli, postawić krzyż na wierzchu zawałonej ziemianki i przejść do porządku dziennego“.

Nie wiem, jak żałowałby kapitan zabitych wolontariuszów, smutek jego po poszarpanych tornistrach i połamanych karabinach był wielki. Cudownie ocaleni powtarzali: „No, teraz nas już diabeł nie weźmie, z Jankiem gorzej!“.

Śmierć Szujskiego.

Pod wieczór jednego z pierwszych dni wietrznej i słotnej zimy do pułkownika zostali wezwani: Malcz i Władysław Szujski. Wezwanie, przez władzę, naszego chorążego i sierżanta zdziwiło nas.



Z niecierpliwością też czekaliśmy ich powrotu z fermy Esperance, gdzie mieszkał nasz pułkownik Pain.

Po rozradowanych nieco minach powracających poznaliśmy, że chodzi tu o coś bardzo dobrego, jednocześnie ważnego.

Malcz objaśnił nam, że naprzeciw sąsiadujących z naszymi okopów znajduje się kompania niemiecka, większą której część jednak stanowią Polacy. Zostaliśmy powołani do wykonania specjalnej misji, mianowicie: pójścia do sąsiednich odległych o kilkanaście kilometrów okopów, gdzie mieliśmy jakiegokolwiekby sposobem poinformować będących we wrogiej armji Polaków, o naszej naprzeciw ich pocisków wystawionej garstce.

Tego samego dnia połowa pierwszej sekcji pod dowództwem Malcza, ze sztandarem, ruszyła o zmierzchu witać pieśnią i Białym znakiem „polaków-wrogów”.

Nocą, cichym zgodnym chórem, zaczęto śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Żaden żywy głos nam nie odpowiedział.

Wszystko jeno bardziej ścisnęło, słuchać zaczęło, zamyśliło się. Strzały słyhać było coraz rzadziej, rzadziej, aż zniknęły karabiny niemieckie w rękach polskich. Cicho było. Zastłuchało się serce bliskie. Po ziemi szła pieśń polska, wierna, żyjąca.

Nie strzelano prawie wcale, kiedy skulona, jakby zatrzwożona w sobie uchodziła z pól reszta nocy. Ponad nasypami niemieckich okopów ukazały się głowy ludzkie. Nie strzelano zupełnie.

Po porozumieniu się z oficerem niemieckim, postanowiono przez pewien czas nie strzelać, celem obustronnego zajęcia się uprzątnięciem, leżących między okopami trupów.

Powychodziliśmy z okopów. W nasyp wetknięty sztandar nasz wyłonił z purpurowego tła Białego Orła. Z piersi Polaków wyrwała się pieśń. Zaczęto wołać: „Polacy, chodźcie do nas”. „My tu pod

swoim walczymy znakiem“. Na nasze jednak wołania poczęto odpowiadać lekliwie, z niedowierzaniem. Cały dzień zeszedł na rozmowie. Sądziłyśmy, że znajdują się Polacy, którzy przejdą nocą do naszych okopów. Z wieczora już wychodziliśmy między okopy bez karabinów—czekaliśmy, pełzaliśmy, aż do drutów niemieckich — napróżno!

Martwa, bezwzględna cisza zaległa dokoła.

Rankiem znów zabrzmiała pieśń polska — już jej jednak nie słuchano, z tamtej strony. Posypały się kule, salwa za salwą szła przy ziemi zła, sycząca.

Szarpany nadlatującymi kulami, wstrząsał się Biały Ptak.

Na nasypie stanął Szujski, nie zdążył wyrwać sztandaru, gdy razem z nim wpadł martwy do okopu, gdzie na rękach kolegów Waltera i Ostowskiego zkonął. Kula zerwała mu całą górną część czaszki. Długie, niewstrzymane łzy płynęły z oczu Malcza, zamigotały mściwym błyskiem poprzez mgłę żalu w oczach francuskiego oficera.

Sztandar wręczono Janowi Sobańskiemu, jako najstarszemu z obecnych.

Później dopiero dowiedzieliśmy się, że nocą, cała kompanja polska została zastąpiona niemiecką.

Nikt z nas nie śmiał podejrzewać, że Szujski padł z ręki Polaka.

Misja nasza nie przeszła jednak bez skutków, które po kilku tygodniach stawały się coraz bardziej widocznymi. Kilkudziesięciu żołnierzy Polaków przeszło ogółem na stronę francuską.

Władysław Szujski został pochowany nieopodal okopów. Na grobie złożono olbrzymią dębową deskę na której skrzyżowano polski i francuski sztandar. Napis brzmiał: Władysławowi Szujskiemu, chorążemu oddziału polskiego, zabitemu na polu chwały we Francji.

Śmierć Szujskiego niemałe zrobiła wrażenie na naszej garstce. Władza poczęła jednak inaczej patrzeć na nas. Apele wieczorne, jak wogóle

wszystkie sprawdzania u nas przestały być praktykowane.

Zycie w okopach nie uległo żadnym zmianom — pracowaliśmy jeno dłużej. Zaczęte nocami okopy idące prostopadle ku linii nieprzyjacielskiej coraz bardziej się zbliżały do czarnego, tajemniczego lasku. Poste — d'écoute wysunęliśmy naprzód o 300 metrów.

Ze względu na jego małą odległość od naszych ziemianek nocną wartę pełniły całe escouade'y. Ciężką pracą nocną było dla nas kopanie podziemnych mieszkań. Dwu, czy trzymetrowe lochy pod ziemią miały służyć za mieszkanie dla połowy sekcji.

Praca była nader ciężką ze względu na niemożliwość bezpośredniego wyrzucania ziemi, którą trzeba było wynosić na wierzch koszykami. Syzyfowy ten trud dawał bardzo nie widoczne rezultaty, co nie mogło się pomieścić w głowach naszej władzy.

Niemcy coraz bardziej zaczęli bombardować nasze okopy. Pewnego popołudnia na podziurawioną, jak sito, Markizę wyrzucili sto pięćdziesiąt pocisków wielkiego kalibru.

Bombardowanie nie odbyło się bez cięższych skutków. Wraz z kolegą Rotwandem — furazerem oddziału, zostało ciężko rannych jeszcze pięciu ochotników polskich.

Zewnątrznie, już dawniej poszarpana Markiza, nie o wiele zmieniła swój wygląd — litości i łez godzien.

Piwnice jednak samego budynku zupełnie nie zostały uszkodzone tak, że „poste de secours“ został na miejscu, jak również kwatery komendanta i magazyny.

Zima uchodziła powoli. Najbardziej dawały się we znaki ciemne nieprzejrzałe noce. Często-kroć o dwa kroki nie dostrzegało się w okopach naprzeciw idących kolegów. Warty wymagały niebywałego czuwania, wszystko stawało się bardziej

męczącym, wyczerpującym. Mieszkania nasze pod ziemią nie były jeszcze skończone, wiele ziemianek pozapadało się. Trzeba było myśleć o zbudowaniu sobie jakiegoś mieszkania. Podzieleni na małe grupy po czterech — pięciu, zaczęliśmy kopać podziemne loszki. Ja z kolegami: Szurygiem, Szejnkellerem i Wiwigerem, w ciągu niespełna trzech dób, nie śpiąc, ani godziny, wydłubaliśmy sobie w kredzie ¹⁾ coś w rodzaju rodzinnego grobu.

Pod koniec trzeciej doby, kiedy żaden z nas nie był w stanie się poruszyć, pokładliśmy się na wilgotnym kredowym gruzie. Po przespaniu kilkunastu godzin wezwano nas na wartę.

Ani jeden z nas nie mógł się podźwignąć, ciężkie obolałe ciało, jakby wzrosło w ziemię. Sprowadzony doktor stwierdził, że wszyscy mamy pewien rodzaj influenzy. Najsilniejszym z nas okazał się kolega Wiwiger, który po odleżeniu doby wstał i nawet objął wartę.

W wykopanym przez nas lochu, który z każdym dniem poprawiany i ulepszany wyglądał wreszcie jak mały pokój, co prawda cokolwiek za niski — czuliśmy się świetnie. Żadne bombardowanie nas nie przestraszało, najspokojniej w świecie w wolnych chwilach graliśmy w karty, pisaaliśmy listy.

Wolną chwilą w okopach nazywały się nie tylko godziny niezajęta przez wartę lub pracę ale też chwila poza łapaniem insektów. Polowania zajmowały nam większą część odpoczynku. Pomysły nasze w celu wytepienia nieznosnego robactwa były naprawę nadzwyczajne. Poza znanymi środkami przeróżnymi proszkami i maściami używaliśmy takich jak: zbijania kolbą, raz przy razie i raz po razu zdjętej z siechie bielizny; zalewanie stearyną, każdej z oddzielna wszy — ten ńódek

¹⁾ W całej prawie Szampanji pod pół metrowej grubości tłuŃtą glinianą ziemią znajdujĄ się bardzo szerokie warstwy kredy.

wymagał wiele cierpliwości — więcej jeszcze czasu. Wszystko jednak nie pomagało i było tylko ćwierć środkiem.

Robactwo było wszędzie w słomie, w szwach ubrania, bielizny, w tornistrach. Drapano się do ran. Między innymi kolega Suzin został wysłany do szpitala, jedynie z powodu ran na ciele od ciągłego drapania się. Nieznośna pogoda z zawiejami, deszczami; insekty; praca nad siłą szarpnęły nasze nerwy, potrzebowaliśmy czegoś silnego, jakiegoś wrażenia, któreby nas wyrwało z dziwnej rezygnacji i odrętwy.

Kiedy pewnej nocy zbudzono nas alarmującymi krzykami: „do bronil“ byliśmy zadowoleni z możliwości narażenia się na pewniejsze, niż zwykle, niebezpieczeństwo.

Całe, lewe skrzydło naszego secteur'u ginęło w dymie pękających pocisków, Jasne magnezjowe światło bombek świetlnych to gasło, to zapalało się. Bulgotały mitraljezy. Coś się w dali kłębiło, kotłowało.

Staliśmy gotowi, zapatrzeni w sine zwały kłębiącego się po ziemi dymu. Deszcz z wiatrem smagał nam twarze, ręce, gwizdał na lufach wystawionych karabinów.

Zaczęło ścichać.

W kilkuminutowych już tylko przerwach drżały bombki świetlne. Głucha ciemność kazała ciszę. Zawiedzeni, zmoknięci wracaliśmy do swoich lochów podziemnych.

Późniejsze alarmy nocne nie robiły już na nas wrażenia, złościły raczej.

Pamiętam, gdy na głośnie krzyki sierżantów „aux armes“ szedłem jak inni spokojnie, jak gdyby na spacer. Widok mój, widać rozgniewał adjutanta, który zgorszony począł mi krzyczeć nad uchem:

„Jesteśmy atakowani, a pan, jak nigdy nic, pali sobie fajkę i idzie, jak do kościoła!“

— Eh, ktoby nas tam atakował? — pomyślałem, wątpiąc w nasze szczęście.

No i miałem rację. Niemcom przyszła, widać jakaś fantazja ostrzelania nas — co ani im pożytku, ani nam szkody nie przyniosło — tę chyba, że nas zbudzili.

Z stopniowo wzrastającym rozdrażnieniem nerwowem zacieśnił się krąg przyjaźni. Przyjaźń przechodziła w jakieś chorobliwe wprost uczucie wszystkiego co nasze, co polskie. Nie pozwalaliśmy na najmniejszą choćby obrazę kolegi — jednocześnie uważaliśmy, by który z nas nie zrobił czegoś, uwłaczającego naszej polskiej, utrwalonej już opinii. Długie godziny warty nocnej, podczas całymi tygodniami padających deszczów, był miejscem i chwilami spowiedzi. W bezwzględnej, mimo strzały, ciszy szeptało się całe życie swoje bez zatajenia najmniejszego szczegółu. Czasem razem z westchnieniem rozpływały się w ciszy, ulatywały kędyś w mrok wypowiedziane marzenia.

„Gdyby tak móżdż na jedną choć godzinę wpaść do nas — przebieść ulice Warszawy, spojrzeć na wszystkich, wszystko i wrócić, wrócić na ten sam poste-d'écoute — ciemny w czystym polu dół“.

Długie w zamyśleniu milczenie. Dwie ciemne, prawie, że bez ruchu stojące sylwety, opasują jakieś miękkie, niewidzialne ręce i cisną powoli, łagodnie, gdyby do dobrych matczynych piersi.

I tak co noc, co dwie godziny zmiany warty..

A na cmentarzu przed ślepą Markizą coraz więcej mogił, coraz gęściej drewnianych niezgrabnych krzyżów.

Dziwne pogrzeby.

Noc. Nad wykopanym dołem wkrąg stojący żołnierze, w rękach ich karabiny — jeno lufy ku ziemi.

Pogrzeb kolegi z trzeciej kompanji. Parę godzin temu siedł jakby na spotkanie wielkiego pocisku, który go w pierś uderzył. Ciało na tysiącach kawałeczków postrzępił i rozniósł na wszystkie strony, tak iż zdawało się, ducha razem roznieścił.

„Zwłoki“ złożone w małym płóciennym worku — wszystko co zebrano.

Włoką się dnie trudne, ciężkie, jakiegoś dziwnego oczekiwania pełne.

Obiad. Z brudnych niemytych blaszanek wyłapywanie kawałków mięsa, wychłęptywanie zupy.

Nieostrożny kolega Swirski stoi z gamelą naprzeciw cre'nau¹⁾ — nie doniósł łyżki do ust — krzyknął — kula przeszła mu ramię... Wypadek coraz pospolitszy — ot stracona porcja zupy!...

Znów nad kanałem Aisne, znów t. zw. odpoczynek — tym razem jednak mniej, niż zwykle jest on odpoczynkiem. Co wieczór, zaledwie gęsty mrok spełźnie, idzie kompanja nasza w jakieś tajemnicze miejsce z łopatami, kilofami i karabinami.

Po dwugodzinnej drodze przez gęste, przejść nie dające, zarośla, trzęsawiska, rowy dochodziliśmy do okopów. Przechodzimy kilkaset metrów wzdłuż nasypów, wychodzimy na powierzchnię. Otrzymujemy szepem rozkaz kopania okopów. Kule przelatują górą, nad naszemi głowami, słychać tylko ich syk. Kopiemy zawzięcie dla rozgrzania się — chłodna wilgotna zimowa noc wkrada się pod szynel, ziębi ciało.

Od czasu do czasu w górze zapala się bombka świetlna — przypadamy do ziemi. Jasne niebieskawe światło drży, migoce, gaśnie — do pracy.

„Rassemblement“ — godzina druga po północy, wracamy do ziemianek.

Leżąc podczas ostatniego, przed snem, papierosa, pytamy się wzajemnie, czy nas nic już innego nie czeka tylko ta wyczerpująca praca, to obsługiwanie wszystkich?

Coś się w nas zaczyna buntować, coś mówi, krzyczy poprzez naciągnięte nerwy, że przecież myśmy tu nie po to przyszli? Szereg jednoznacznych

¹⁾ Cre'nau — otwór, okienko w okopach przez które się strzeła

pytań milknie, gdy któryś z trzeźwiejszych kolegów rzuci nie przekonywające wewnętrznie, ale kryjące rację: „Trudno, podpisałeś zobowiązanie — musisz być jak kuchta do wszystkiego”.

I naprawdę myśmy byli do wszystkiego. W raportach czytano nam ciągle pochwały, zdawano jako nagrodę — porcję wina.

Wszystko to jednak nie było tem, czego wymagała nasza wyobraźnia — wszystko włącznie z pochwałami tylko nas nużyło. I nie tylko myśmy byli znużeni, walczący z nerwami, ale i wszystka władza nasza. Poczynając od sierżantów, aż do starszka kapitana widać było na twarzach wszystkich zniecierpliwienie i rozdrażnienie.

Ogólny ten stan bywał przyczyną ostrych scysji, nieporozumień. Wolontariusze odnosili się do władzy nieufnie — władza podejrzliwie. Sierżanta Franken Niemca poczęto podejrzewać o szpiegostwo.

Nastroj ogólny upodabniał się do wstrętnej pogody.

Całe tygodnie bez słońca, szara łzawa mgła i od czasu do czasu wiatr ze śniegiem, lub deszcz; błoto nie do przebycia, chyba tylko dla żołnierskich nóg — stwarzały dnie wprost nie do zniesienia.

Stawało się coraz duszniej, coś gniozło, tłoczyło piers.

Po trzech tygodniach pobytu nad kanałem i ciężkiej co noc pracy w ciemności, napotykając tu i owdzie trupa, często kopiąc ziemię obok cuchnącego, rozkładającego się ciała — wróciliśmy do okopów.

Pobyt w okopach, ze względu na pogodę nie zapowiadał się nadzwyczajnie. Po pięciogodzinnych zasadzkach, wracano do ziemianek, drżąc z zimna. Odzież, bielizna, wszystko przemoknięte do ostatniej nitki, kazały przeklinać świat cały.

Odpoczynek w okropnych warunkach po ciężkiej pracy, zasadzkach, warcie, stawał się chwilą, której się raczej baliśmy, niż pragniliśmy.

Trudno by było zliczyć przekleństw, rzucone, drżącymi poprzez dzwoniące zęby wargami w wilgotne ziemianki.

Zdawało nam się rzeczą niemożliwą przetrwanie w podobnych warunkach zimy. Pojawiły się choroby, świerzba i jakaś t. zw. transzowa egzema.

Kilku kolegów, pokrytych ranami, odesłano do szpitala.

Po kilkutygodniowym pobycie w okopach znów nud kanał na... „odpoczynek“.

Słowo „repos“ oddawna nikogo nie cieszyło, przeciwnie wywoływało na ustach wszystkich ironiczne uśmiechy.

O godzinie drugiej po północy wyczerpani, zdaje się do ostatnich granic sił naszych, cłapałiśmy po lepkiem błocie nad kanał.

Ziemianki nad kanałem zaczęły się walić — wewnątrz było tak mokro od przeciekającej przez dziurawy dach wody, że zaledwie po dwugodzinnem w nocy reparowaniu dachów, ułożyliśmy się do snu. Do snu — nie wiem czy to był sen — takie przywarcie do mokrej ziemi, gdyby na śmierć.

Zdaniem wszystkich, odpoczynek należał się potrzebnym był choćby dlatego, byśmy mogli przetrwać przyszłe ciężkie chwile.

O godzinie dziesiątej rano zbudzono nas — zbudzono... do pracy. Można by było podejrzewać kapitana naszego o zemstę, o chęć dokuczenia nam, karę za jakieś winy, słysząc rozkaz jego.

W rozkazie dowódzca kompanji naszej polecił sierżantom wyznaczenie dla każdej escouade'y całodziennęj pracy polegającej na... wrywaniu, na poły już zgniłych, buraków. Niepomatu zdziwieni wolontariusze wzięli się jednak do tej niewojennej czynności. Wyciągaliśmy za mokre liście, wielkie, białe buraki, moknąc na deszczu aż do wieczora. Nie byliśmy jednak bardzo odpowiedni do tej pracy—gdyż o godzinie piątej wieczorem, zwykłej godzinie obiadu, nie omyśliśmy wyznaczonej nam przestrzeni.

Kucharze wykrzykiwali swoje „Ee—po zupeł”

Nie przywiązując wielkiej wagi do ukończenia i wyników agrarnych zajęć — zeszliśmy z pola na obiad.

Byliśmy jednak uderzeni w ciemię, widząc zaperzonego, krzyczącego kapitana. „Niema obiadu, niema, niema — nie skończyliście, niema obiadu. Kucharzel! Zupeł z powrotem — zjedzą, kiedy skończą!”

Krzykiem i słowami kapitana byliśmy nie to dotknięci, ale kopnięci, Słyszane jeszcze w Bayonnie od różnych opojów z Legii Cudzoziemskiej słowa: „że myśmy się angażowali dla talerza zupy” zostały już przez nas zupełnie zapomniane — tembardziej że w raportach dziennych powtarzano nam ciągle pochwały władzy wyższej. Teraz jednak nie mogliśmy pojąć słów i postępowania naszego kapitana.

Wróciliśmy na pole, skąd po godzinie zwoływać poczęli nas sierżanci na obiad,

Pracowaliśmy jednak do ósmej.

Ciemno już było, gdyśmy wchodzili do ziemianek. Bez żadnej uprzedniej agitacji, umawiań się — nikt nie tknął obiadu.

Zupa, mięso później wino zostało u drzwi naszych lochów nienaruszone.

„Les caporaux — sortez!” (Kaprale wyjdźcie) krzyknął kapitan.

„Musicie zmusić, zmusić żołnierzy do jedzenia, a jeśli nie zmusicie zerwę wam galony, bo nie jesteście ich godni, nie jesteście zdadni, nie zdadni...”

Kaprale jednogłośnie poprosili o odebranie im kaprałskich oznak, dodając że sami nie będą jedli. „Rompez” (rozejdźcie się) krzyknął kapitan.

Następny dzień przeszedł podobnie do ubiegłego.

Pod wieczór, trzeciego dnia naszej głodówki, kapitan pojechał do pułkownika. Po powrocie ka-

zał zgromadzić cały nasz oddział przed ziemiankami.

Wiedzieliśmy, że pobyt kapitana u pułkownika Pain'a mógł wziąć obrót dobry dla nas, ponieważ mieliśmy zupełną sympatię pułkownika, który wogóle, a bardziej jeszcze od śmierci Szujskiego, lubił i wyróżniał Polaków.

Ze łzami w oczach zaczął mówić do zebranych stary kapitan, twierdząc „że jesteśmy dziećmi, których on nie znał; że bardzo często zasługujemy na surową karę, a jednak pozostajemy nieukarani; że raz jesteśmy wolontariuszami, powinniśmy bez szemrania robić wszystko, że on zna żołnierzy, wie jak z nimi postępować, bo trzydzieści lat już jest w armii, że wreszcie możemy nie jeść i t. d. i t. d.“

Po przemowie kapitana zaniechaliśmy głódówki. Kapitan miał wiele racji — nie mógł jednak stosować swej zasady do nas, że żołnierz nigdy nie powinien być bezczynnym. Zasada kapitana Lobus'a mogła być bardzo rozumną i z dobrym skutkiem stosowaną w bataljonach dyscyplinarnych, skąd do nas przybył, ale nie wśród nas.

Po zgodzie między nami, a kapitanem, stosunki stały się bardzo serdeczne, bliskie, staruszek stał się przez nas lubianym „tata“ (tak go później wolontariusze nazywali).

Wigilja nad Aisne.

W wigilję Bożego Narodzenia wraz z kapitanem siedzieliśmy zgarbieni w niskich ziemiankach nad kanałem, pijąc na cześć przyszłego zwycięstwa Francji, na cześć przyszłej niepodległej Polski.

O północy urządziliśmy kabaret. Śpiewano, deklamowano, słowem bawiono się pierwszy raz tak dobrze o trzy kilometry od frontu.

Chór miał zakończyć popisy, gdyśmy usłyszeli turkot mitraljez, grzmot armat.

Po drodze przed lochami, przejechał motocyklista, krzycząc „Aux armes!“. W parę sekund, gotowi do drogi i na wszystko, staliśmy wyszeregowani w dwurząd, zanim jeszcze zdołała przybiedz nasza władza.

Gdy przyszedł kapitan widzieliśmy pierwszy raz prawdziwą, nie dającą się ukryć radość w jego oczach.

Był przymrozek, Po skostniałej, szerokiej drodze szły równo czwórki nasze krokiem pewnym, śmiałym,

Kanonada, bulgotanie mitraljez nie ustawało. Doszliśmy do ruin miasteczka Prunay.

Ukryci za martwo sterczącymi murami, czekaliśmy znaku. Jak bardzo czekaliśmy rozkazu: „En avant“ — jak chcieliśmy pokazać, pocośmy się angażowali, były dowodem nasze błyszczące niecierpliwie oczy, ściskające karabiny ręce.

Chęć naszą dojrzał kapitan, czuł ją w naszym kroku, w niecierpliwem czekaniu słowa: na-przód!

Wtedy jednak nie było nam sądzonem pokazać, czem jest nasza polska garstka. Atak Niemców został odparty z wielką łatwością bez straty z naszej strony. Jak z pasterki wracaliśmy w mroźną noc wigilijną do mieszkań naszych nad zastygłym kanałem Aisne.

Święta Bożego Narodzenia przeszły spokojnie, wesoło — Niemcy już nie atakowali,

Nowy Rok spędziliśmy w okopach. O północy na granicy dwóch lat krwawej wojny była zupełna cisza.

Obustronne milczenie trwało najwyżej dziesięć minut, po których Niemcy chcieli nas zaniepokoić. Wezwani „do broni“ stanęliśmy odrazu gotowi do spotkania napastników, którzy, widać sądzili, że jesteśmy pijani i damy się wziąć łatwo i prędko. Przekonawszy się, że nietylko ich się nie lękamy,

ale z radością kule nasze ich witają, uspokoił się na resztę Sylwestrowej nocy.

Po tygodniu względnej pogody, znowu zaczęły padać deszcze, z nasypów do wewnątrz okopów, staczały się grudki białej ziemi.

Zaczęto mówić o jakimś dłuższym odpoczynku, o wypełnieniu luk w ludziach bataljonu, przeglądzie dokładniejszym całego pułku.

Po dłuższym, niż zazwyczaj pobycie na froncie w ciemną, śnieżną noc szliśmy do Bouzy, miasteczka, odległego o trzydzieści kilometrów od frontu. Wielu z nas już po przejściu kilku kilometrów ledwie wlokło nogi po rozmięklej glinie. Wiatr ze śniegiem i deszczem dał nam prosto w oczy, tam, gdzie droga szła pod górę, bataljon nasz rozciągał się w długą, nierównej grubości ciemną linię. Byłem tak zmęczony, że koledzy prowadzili mnie, trzymając pod ręce. Gdy teraz wspominam ich dobroć, zdaje mi się, ona wprost w życiu niezrozumiała, nieprawdopodobną. Jeden z kolegów, litwin Batkiewicz, sam zmęczony, prawie że z radością dźwigał mój tornister, odpowiadając na moje pytania, czy mu nie ciężko: „Ależ nie — przeciwnie, tak wygodniej nawet — jest pewna równowaga”. Ładna równowaga, dwa ciężkie pięćdziesięcio-kilowe tornistry jeden na piersiach, drugi na plecach. Dzogie wspomnienia z dnia czystego w swojej treści minionego. Zdaje mi się, że żadne uczucie ludzkie nie jest w stanie zastąpić tak jasnej smugi i rozciągnąć jej na przyszłe dni życia, jak przyjaźń jakiej doznałem podczas pobytu mego w legionie. Wzajemne odczuwanie się było posunięte do takiej subtelności, że przypadkowe jej uzewnętrznienie, kazało się nieraz rumienić.

Ręce gotowe do bezlitosnej walki, do pławienia się we krwi, miały niepokalaną białość i miękkość dla kolegów. Dwa na krańcach stojące uczucia spotęgowane do ostatnich granic wy-

pełniały pustkę, która w życiu zwykłym bywa zajęta tysiącami drobnych uczuć, pragnień, zajęć.

W Bouzy pierwszą i drugą sekcję umieszczono na strychu niewielkiego domu.

Na dole mieszkali dwie rodziny winiarzy, z nich jedna polska. Pozostali we Francji od 70 roku emigrant Polak — niejaki Kamiński teraz spotkał się z Polakami ubranymi w francuskie, czerwone kepi. Najbardziej ucieszył się, gdy między legjonistami, odnalazł Stanisława Kamińskiego kolegę naszego, który specjalnie z Ameryki przyjechał do Francji w celu wstąpienia do szeregu armji francuskiej,

W Bouzy dnie schodziły nam na ciągłych rewjach ubrań, karabinów, szczegółów.

Teraz dopiero, po względnym odpoczynku zaczęły, jak grzyby po deszczu, wychodzić choroby. Codziennie zrana przed domem, gdzie przyjmowali dwaj nasi lekarze, zbierały się tłumy słabych żołnierzy. Poważnie chorych odsyłano do szpitala, innych do miejscowych baraków, pozostałym dawano kilkudniowe odpoczynki.

Ja z kolegą Szurygiem i Szteinkellerem znalazłem się w barakach w Bouzy. Długie drewniane budynki były przepełnione głównie żuawami i strzelcami algierskimi.

Pobyt w podobnych barakach był prawdziwym odpoczynkiem, o leczeniu nikt tam nie myślał. Codziennie zrana przychodził doktor wojskowy. Ustawieni przed narami żołnierze stali jak na rewji generała.

Od czasu do czasu doktor się zatrzymywał, pytając:

— No cóż — lepiej?

Przeważnie odpowiadano, że ; „lepiej“. Gdy jednak ktoś się odpowiednio skrzywił, jak gdyby chciał powiedzieć, że „przeciwnie daleko gorzej“ doktor brał gruby ręcznik, przykładając do żołnierskiego munduru i słuchał.

Żadne zwierzę, ani człowiek dotąd przeze mnie spotykany nie miał tak rozwiniętego słuchu, jak wojskowy eskulap z Bouzy. Ten, posłuchawszy niedbale przez cały materac złożony z ręcznika, munduru, wełnianej koszulki i flanelowej koszuli rzucił idącemu w ślad milczącemu infirmierowi środki lecznicze, mające radykalnie pomóc doległościom. Środkami leczniczymi były: mleko, jodyna (ta głównie) i bańki. Po wyjściu doktora zlewano delikwentów jodyną od stóp do głowy. Rzadko dawano szklanekę mleka — najczęściej zabraniano pić wina — porcje przeznaczone dla żołnierzy przechodziły wówczas, raczej przelewały się do gardła sierżanta.

Między kolegami memi z baraków były nadzwyczajne typy marokańczyków, między innemi niejaki Hamed ben Mohamed, smukły i smagły żołnierz, jedyny pozostały przy życiu z całej kompanji, podczas bitwy nad Marną. Do baraków został odesłany, ponieważ niewiedzano co z nim robić, jako z jedynym przedstawicielem bohaterskiej, nieistniejącej już kompanji marokańskiej. Złą francuszczyzną opowiadał nam wieczorem swoje perypetje wojenne.

W Bouzy byliśmy trzy tygodnie, skąd nieco wypoczętych odstawiono wielkim automobilem do Verzonay. W znanem miasteczku zatrzymaliśmy się na noc. Jakaś pocziwa staruszka odstąpiła nam pokój na górze, zgctowała obiad, śniadanie, na drogę obdarzając nas trzema butelkami wina. Z Verzonay pieszo doszliśmy do fermy Espérance, gdzie powiadamiono nas o miejscu pobytu kompanji naszej. Koledzy nasi stali w nowowykopanych rowach wysuniętych naprzód od dziurawej Markizy.

Świeże okopy nasze znajdowały się o sto pięćdziesiąt metrów od okopów niemieckich. Zaraz po powrocie do kompanji, zaprzgnięto nas do pracy, jako zupełnie wypoczętych. Cudem wprost podczas kilkutygodniowej naszej tam bytności nie było ani jednego rannego. Powtórzę — cudem, po-

nieważ od bombardowania zniszczono nam wielką ilość karabinów, zawałono kilka ziemianek, potrząskano naczynia kuchenne. Bardziej ukryci od nas Czesi i Grecy mieli kilkunastu zabitych i rannych. Często też mówiono w innych kompanjach, że nad Polakami ktoś czuwa. Na cmentarzu przed Markizą najmniej było grobów Polaków.

Powoli mijał styczeń, rzucając na ziemię jakby resztę zimowych zapasów deszczu, śniegu i mgieł. Naokoło dawało się odczuć, jeśli nie przecucie, to jakieś niecierpliwe oczekiwanie wiosny. Odpoczynki nasze w Verzonay stawały się bardziej przez nas pożądano.

Wszystkie ciężkie, jeszcze do niedawna, rewje były dla nas teraz drobnostką. Wyczyszczenie, najbardziej zardzewiałego karabinu nie zajmowało nam więcej czasu nad godzinę.

Nauczyliśmy się różnych żołnierskich krętactw. Często pokazywano kapitanowi jako swój — przyniesiony z innej sekcji wyczyszczony karabin, brudny, własny, skrzętnie chowając pod siennik.

Coraz bardziej starzy żołnierze, mieliśmy coraz epsze, wypróbowane kawały dla zamydlenia oczu naszym zwierzchnikom. Prześcigano się w pomysłach i wynalazkach.

Na wzór innych żołnierzy, przeważnie żuawów, którzy ze strzelcami algierskimi i naszym pułkiem tworzyli dywizję marokańską, zaraz po wybiciu piątej godziny uciekaliśmy do miasteczka. Wielu z nas otrzymywało z kraju pieniądze, za nie u jednej z nielicznych mieszkańek miasteczka urządzano obiady, zawsze z nadmierną ilością wódki i wina. Codziennie podczas tygodniowego odpoczynku krokiem chwiejnym spieszyliśmy na apel do koszar.

Mimo, żeśmy dotąd nie dali żadnych krzyczących dowodów naszej odwagi — mieliśmy wszyscy opinię bohaterów. Pamiętam słowa żuawów: „Strzelcy

są dobrzy, zuawi też niczego — wszyscy jednak razem nie warci legionistów polskich!”

Kiedy przechodziliśmy, śpiewając „Rotę“ Konopnickiej, lub inną żywą pieśń naszą zasypywano nas oklaskami.

Wielu z naszych zwierzchników nauczyło się całych wierszy polskich ze śpiewanych przez nas pieśni. Wszyscy znali na pamięć ich melodje.

W połowie lutego miasto do okopów za Markizą, po przejściu miasteczka Prunay, skrzyliśmy na zachód w stronę Lasku Żuawów. Długie, kręte okopy przezwane „Labiryntem“ ciągnęły się bez końca. Jak zawsze, tak i teraz nie wiedzieliśmy dokąd idziemy. Ciemny Lasek Żuawów coraz wyraźniej, coraz bliżej ukazywał czarne, milczące sylwety drzew.

Przechodząc koło linii obronnej, wiedzieliśmy, że gdzieś nieopodal znajdują się ziemianki, przysze nasze mieszkania. Nie myliliśmy się.

W wgłębieniu wąskiego chodnika dojrzelismy wejścia do lochów, w których rozmieszczono nas escuade'ami.

W nowych naszych okopach czuliśmy się dobrze. Powoli schodząca wiosna z dobrem łaskawem ciepłem tuliła nas zmęczonych serdecznie, troskliwie.

Mimo codzienną pracę ponocną, nie czuliśmy się tak wyczerpani, jak miesiąc temu.

Niemcy bombardowali nas rzadko — pewnego tylko ranka zwalili dach jednej z naszych ziemianek, raniąc kolegów Swirskiego i Wyrozębskiego. Pierwszy niedawno powrócił ze szpitala — ranny powtórnie po opatrunku z własnej woli pozostał w kompanji.

Kapitan przedstawił go do medalu wojkowego.

Podczas kilkutygodniowego pobytu naszego w nowych okopach nie stało się nic ważnego dla kompanji naszej.

W lasku Żuawów

Widokiem, posiadającym nadzwyczajny, pełen grozy urok, był nocny atak Niemców na okopy Żuawów.

Po kilkugodzinnem bez przerwy bombardowaniu linii dzielnych Żuawów, rzuciły się wojska niemieckie do ataku.

Zaterkotały mitraljezy, powtarzały się jedna za drugą karabinowe salwy.

W czerniejący między okopami lasek Żuawów wpadały ryczące ognie, wyrrywając ramiona starym, rzadkim tam już sosnom. Błyski czerwone szarpały konary i plując w ziemię szatańską, twardą plwociną, wstrząsały nią, zda się, aż do głębi jej posad.

Prawie, że pod same nasypy francuskich okopów doszli atakujący. Zatrzymywani przez gęstą sieć drutów kolczastych padali koszeni gęstym ogniem kulomiotów. Po północy z sykiem wzbiła się w górę rakietą, rozsypała w powietrzu deszcz świateł, jak pęk czerwonych kwiatów. Znak zwycięstwa! Z niewidzialnych miejsc, z za ciemnych gór szły, niby piekła wysłańce, syczące pociski niosące śmierć, grozę, strach. Padały z trzaskiem, hukiem między czarne, zamarłe w bezruchu drzewa, których coraz mniej żyło na tle ołowianego nieba.

I była w tem strasznem, niszczącym bombardowaniu, jakaś nieubłagana zemsta, jakieś powolne spoglądanie na konającego napastnika.

Wstrząsając zda się od wnętrza ziemię, pękały ciężkie powietrzne torpedy.

Ukryci w okopach spoglądaliśmy poprzez nasyp na to straszne i zarazem piękne widowisko.

Całą noc trwała kanonada. Z radością mówiono u nas: „Dziś to bardzo bombardzał“

Razem z poczynającym się rankiem — cichło, sino-czarne kłęby dymu, kryjącego ziemię, rzedły.

Na szarem poszarpanem polu gęsto leżały trupy Niemców. Z konających, ludzkich piersi nie słyszany, niesłuchany ulatywał ostatni jęk.

Kilka ocalałych sosen poopuszczało długie gałęzie, niby bezsilne, rozpaczne ręce.

Z nabitymi karabinami, zamysleni powracaliśmy do ziemianek.

W pustych naszych mieszkaniach gospodarowały szczury, cicho szeleszcząc w wilgotnej słomie.

Wiosna coraz cieplejsza, radośniejsza snuła się złotymi promieniami, po nasypach rzucała tu i ówdzie cienką zieloną nić trawy, barwiła wierzchołki drzew młodą niepewną zielenią.

Myśl coraz ba dziej odrywała się od znanych zajęć — tęskna, tkliwa ulatywała aż poza ostatnie echo strzałów, szukała cichego miękkiego ustronia, łagodnej, matczynej pieczy.

Wszystkie zajęcia nasze poczęliśmy wykonywać maszynowo, licząc się z wyznaczonym czasem. Bardziej, niż w zimie, poczęto się zamyslać, do myśli chętnie dopuszczając smutek, złe przeczucia. Coś się w nas poczyniło razem z dokonywającymi się zmianami w naturze.

Drażniono siebie wzajemnie nowinami i przypuszczeniami długiego odpoczynku w Paryżu.

Wielkanoc przeszła, jakby niespostrzeżona w pierwszej linji okopów — zresztą obawiano się uprzymknienia sobie dnia silniej wiążącego się z przeszłością, omijano starannie wszystkie wspomnienia.

Pogłoski o ofensywie francuskiej zdawały się potwierdzać. W rzadko dochodzących do nas komunikatach oficjalnych czytaliśmy o drobnych powodzeniach wojsk Joffr'é'a.

Zdawało się nam rzeczą wprost niemożliwą byśmy nadal zostali w okopach Prunay, lub Markizy, tak jak dawniej, umacniając i strzegąc naszych pozycji.

Staruszką — tatę naszego, kapitana Lobus'a mianowano komendantem i przeniesiono do innego pułku.

Ze łzami w oczach zegnał nas kapitan, jak my, zapomniał dawną, krótką niezgodę.

Do swojego zastępcy dzielnego i młodego kapitana Osmonde'a mówił, że oddaje mu oddział wzorowy, jak się wyraził „Bataillon d'élite”.

Były porucznik żuawów, terazniejszy dowódca oddziału naszego, był typem odważnego żołnierza. Stanowczy, grzeczny, zyskał naszą sympatię już w pierwszych dniach swego kierownictwa.

Osmonde zjednał nas sobie bardziej jeszcze serdecznem zbliżeniem się do Malcza, który od kilku tygodni mianowany został porucznikiem — dowódcą drugiej sekcji polskiej.

Podczas odpoczynku w Verzonay powiedział nam, że wierzy w nas niezachwianie, że zajmując dotąd przednie miejsce, pójdziemy za nim — kapitanem i kolegą naszym do ataku pierwsi, jako przykład męstwa i woli zwycięstwa.

Osmonde podczas odpoczynków nie męczył nas próżnemi rewjami, wszystkie brakujące nam rzeczy kazał wydawać z magazynu bez pytań o los starych, już zgubionych, lub zniszczonych.

Całe dni mieliśmy wolne. W okopach pracowaliśmy bez narzekań ze zdwojoną energją, pewni, że czeka nas wkrótce odpoczynek, nie kłócony jakąś zbyteczną, w rodzaju wrywania buraków, pracą.

Nieświadomie przygotowywaliśmy się do jakiegoś wielkiego wspólnego czynu.

Myśl jednak o kilkutygodniowym odpoczynku w Paryżu nie przestawała nas drażnić, mimo brak, potwierdzeń ze strony władzy naszej, nie chcieliśmy się rozstać z naszym, niewiadomo skąd poczętem przypuszczeniem.

W połowie kwietnia byliśmy ostatni raz w Verzonay.

Poważne przygotowania wyraźnie mówiły o czekającej nas zmianie. Ciągłe jednak pozbawieni cienia pewności, wahaliśmy się w czekaniu między odpoczynkiem, a udziałem w ofensywie.

Chcieliśmy i jednego i drugiego, i jedno i drugie było nam potrzebne. Co pierwszej nastąpi? Myśleliśmy aż do dnia, kiedy na podwórko domu, gdzie znajdował się posterunek pomocy lekarskiej, pojawiły się nowe karetki znaczone czerwonym krzyżem. dziesiątki nosz z podobnym znakiem i inicjałami I.Rt. Etr. Bat. C. Aha! Więc to dla nas! Wyobrażnia ze stopniowo zgęszczających się w formy ludzkie mgieł, tkąca obrazy, fragmenty ataku.

Uleciały przypuszczenia, domysły. Paryż w jednej chwili, jak w świetle dogorywającej świecy zajaśniał ze wszystkim znanem i znikł, rozwiął się w mroku niemożliwości.

W nieznane strony

Z Verzonay wrócono do okopów za Markizą, skąd po dziesięciu dniach wymaszerowała kompanja nasza w kierunku stacji kolejowej.

Na szerokie platformy wladowano mitraljezy pułku, karetki z czerwonym znakiem, wozy z żywnością.

Długi pociąg ruszył. Postępując, toczyły się wagony między jasną zielenią pól, oblanych słońcem. Perły rannej rosy lśnieniem djamentów raziły żrenice.

Dokąd jechała polska garstka — nie wiedział nikt.

Mieliśmy według słów Malcza połączyć się z resztą Polaków, służących w armji francuskiej. Spora grupa Polaków znajdowała się w drugim pułku cudzoziemskim, grupa utworzona z wolontariuszów, którzy wkrótce po Bayończykach wstąpili do wojska. I rzeczywiście podczas drogi spotkałiśmy pociąg z wolontariuszami, jadącymi w jednym z nami kierunku.

W Calais mineliśmy obozy Anglików, lwy morskie, czujące się podczas ataków, jak sandacze na piasku wobec kota — próżnowali. Pykając niebieskie dymy ze świetnych, trzeba przyznać, fajek, patrzy

z podelba na wszystkich swoich nie angielskich przyjaciół, z góry na brudnych, ale zato nadwyzaj dzielnych żołnierzy kolonja'nych.

Wyrzekłszy się zgoła swych ambicji bojowych, wojskowi angielscy wylegiwali się; jedni czytając podpartego kolanami „Timesa“, drudzy wypoczywając po wyszturganiu piłki bokserskiej, przywiązanej do długiej linki, łączącej namioty.

Dojechaliśmy do celu naszej podróży.

W starych drewnianych budach, zdaje się do niedawna jeszcze stajniach, rozmieszczono nasz bataljon. Radosne, majowe słońce budziło nas wczesnie. Stare francuskie miasteczko o kilkaset metrów cofnięte na zachód, od naszych, ledwie się trzymających na powierzchni ziemi, szop, mimo rany pociskami wyszarpane, codzień budziło się w dziecięcej radości, precz odpędzając mgłę smutku widzeń ponocnych, lub ginącej z pamięci niesprawiedliwej, przemijającej rzeczywistości.

Cicho i dobrze było w oddziale polskich ochotników. Codziennie wychwytywał wzrok z otoczenia bliskiego i dalekiego, tego, co się aż po przez horyzont przewalał, szczegóły coraz to inne, utrwalające się, nie wiedzieć czemu, dziwnie ostro w pamięci. Niewielka równina, za nią w perspektywicznym skrócie przestrzeń falista, rozkołysana aż po kępki drzew, niby rozparcelowane działki częścią już wyciętego lasu; sterczące kominy rozwalonych domów, jak obnażone z ciała kikuty, wołające swą bezgłosną niemocą o pomstę do Boga i nade wszystko maleńki pagórek, od północy, obliczem drzew go porastających odwrócony w stronę od dawna przysiadłych stogów siana — wszystko to, niby czuła klisza fotograficzna, przyjmowała w siebie pamięć.

W tkliwem, przyjaźni skupieniu mijaly dnie. Wszystkich złączyła w jedno, niewypowiedziana głośno, jakby niedostrzegalna przez nikogo pogoda wewnętrzna, zakłeta w niemem czekaniu chwili,

której treści nie ujmowała dusza, a ciało się nie lękało.

Dnia 8 go maja w środku zamkniętego koła kilkoma rzędami stojących ochotników polskich, głosem uroczystym i donośnym mówił dowódca oddziału polskiego Osmonde:

„Ochotnicy polscy! Jutro będziecie mieli honor pierwszymi iść do ataku naszego i waszego odwiecznego wroga. Jutro po latach długiej niewoli będziecie mieli sposobność wykazania waszej odwagi i potwierdzenia tradycji o dzielności Polaków. Wierzę w Was! Ja z waszej strony jestem szczęśliwy, że was będę mógł prowadzić do ataku. Wróg pać mus il“

Pozatem dowódca nasz, powtarzając słowa generalissimusa Joffre'a zakazywał nam zajmować się się rannymi kolegami, nakazując absolutne posłuszeństwo wszystkim zwierzchnikom bezwzględność wobec wroga i zimną we wszystkich chwilach rozważę.

Powoli, grupami, z mózgiem, nie dość zdającym sobie sprawę z tego, co się stało, a już się bowiem stało po zapowiedzi naszego dowódcy, rochodzili się ochotnicy polscy. Każdy ważył po swojemu wszystkie, dopiero co, słyszane słowa, obracając jedno po drugim, jak jakiś przedmiot, niezwykłej wagi i ceny, nieznanemu mu dotąd, znalezionemu na drodze jego życia.

Chodzili jeden przy drugim, nie wiedząc, w którą udać się stronę, gdzie znaleźć mroczny i cichy kąt, w którym by można wszystkie słowa dowódcy Osmonde'a sobie powtórzyć i znaczenie ich myślą trzeźwą poznać.

Tyle już przecież słyszeli zapowiedzi, a nigdy żadna z nich nie wydała się im tak ważną, tak wiele im obiecującą, jak ta dopiero co wysłuchana.

W mroku wieczoru przez długie chwile chodzili, raczej dreptali na miejscu w tysiączne strony się zwracając bez słowa na ustach, nie uroniwszy jednego, choćby przypadkowego dźwięku.

Aż oto nagle zdrętwieli na мгnienie powiek zrozumieli.

— Jutro, psia wasza mać! Rozległ się głos jednego z kolegów, który stanąwszy na wielkim kamieniu polnym razem z groźbą podniesionej ręki rzucił wyzwanie polskiego legionisty w stronę szczytów płaskich grup drzew na horyzoncie.

Jutro! ryknęły głosy tysiącznem echem.

Z mrocznej szarości wyczerniały się na drodze czwórki III-go pułku żuawów, za nimi junackie sylwety strzelców algierskich, po nich wiecznie się gdzieś śpieszący Senegalezi. Ze wszystkich stron wolno i ciężko toczyły się koła armatnie, podskakiwały lekkie, postukujące, jakby zawsze ze wszystkich drwiące, polowe siedmdziesięciopiątki. Tupot nóg, postuk kół i tętent koński wbijał w świadomość treść j u t r a.

— My pierwsil—Rzucił ktoś z kolegów zapamiętanych w przesuwaniu się tej tajemniczej karawany.

— My pierwsi wąskim klinem w ten trójkąt, oni za nami Jutro!

— Słuchaj Tadek, masz pietra?

— Idź do cholery! Ty masz, bo się pytasz.

— Ja! Zobaczmy!

— Zobaczmy.

— Akurat będzie się na ciebie kto gapił, ty „im“ pokaż, skąd jesteś.

— Ty, będziesz dobijał?

— Co?.. D gnę i pójdę dalej!

— A jak cię tak w ugorek weflancują?

— To nie będę dźgał!

— I buraków kopał artystycznie.

— Patrzcie, jeszcze wałą teraz cięższe...

— Zabombardzą jutro komilfortnie.

— Te Jurek nie masz wyrzutów?
— Czego?
— No za tę wędzonkę w Verzonay...
— A tyś cipki nie buchnął?
— Ale sam jej nie zjadłem.
— A ja sam, czy co?
— Patrzcie, jeszcze jakaś piechota się pic-
chotkuje...

Mrok gęstniał, z oddala wpadały weń rzadkie
odgłosy zamknięte porykiem zmęczonego muła.

Wewnątrz szopy drewnianej dziesiątki świec
rozrzuciły swe światło na twarze i ubrania siedzą-
cych; pozawieszały matowe blaski na krokwiach;
przyklepiły się ogniem do ścian między wielkimi,
czarnymi fantastycznie połamanymi cieniami ochot-
ników polskich. Co kilka sekund z pogwaru rozmów
wybiła się wyraźniejsze słowo — jutro.

Jutro! W niem zamyka się i pogrąża cała
przeszłość, w jutrze, poprzez fosforyczną świeciłką
nadziei, migoce nieuchwytna świadomością przy-
szłość.

Dwie wartości, dwie przestrzenie czasu dziś
i jutro, granicą ich to nie północ, nie zegarkowa
dwunasta, to znak wyciągniętej ręki naprzód, to
rozkaz: na bagnety! To pierwsze pchnięcie bagnetu
w pierś nieznanego człowieka, zwanego nieprzy-
jacielem, to może pierwszy jęk z własnej wydarty
piersi.

Dziś, wypełnione wynikami najbardziej różno-
rodnymi ciężkiej, niemożonej pracy wyobraźni,
plądrującej w niezmierzonej treści jutra, istnieje po-
jęciowo nie jako pewna miara, pewna całość skła-
dająca się z określonej ilości godzin, tylko jako
strzępy tej całości.

Jutro to przepaścista wielość czasu i prze-
strzeni, to jednocześnie kilka, albo jedna sekunda
pękającego pocisku — Dziś!

Dziś kreślono ostatnie słowa pożegnań, przebiegano myślami, przypominającemi całe obszary minionego życia; przeżywano jeszcze raz każdy wypadek; widziano w pełni swej wyrazistości rysy osób bliskich, najdroższych; czytano raz ostatni zbrudzone, przesiąknięte potem, noszone na piersiach, na sercu, łzami skropione, zdaleka przysłane drogie pisanie; tęskniono za jakąś niepowrotną już nigdy chwilą.

Dziś — to nurzanie się, jak kiedyś w piasku przed domem rodziców, tam w Polsce, we wspomnieniach, w całym minionem.

Więc dziś za ostatnie pieniądze „białego”!

— Pijmy!

Radość i śmiech, śmiech ze wszystkiego: z wyśkakującego z hukiem korka, z zapalającej się od świecy — słomy, ze zbląkanego robaka topiącego się w kubku z szampańskim. Śmiech, szczęśliwość, beztroska!

Nagle, jak słabiuchne nacięcie brzytwą: Zamiana listów.

— Jeśli mnie tego — to ty wiesz... tam jest adres. Poślesz, co?

— Dobrze! A ty mój?

— Tylko z ogródkami!

— Zrobi się! Daj gęby!

Przyrzeczenia, serdeczne rąk uściski, pocałunki.

W poczynającą się noc, dziwną noc majową, wpadają rzucane zgodnie, razem, że: "Jeszcze Polska nie zginęła"...

Żyła pieśń polska. Echowało ją wszystko! mrok, niebo i ziemia, nawet drgania światła świec długo nie pozwoliło zamrzeć podzwiewkowi refrenu o zwycięstwie.

— Spać! Ryknął jeden z notorycznych śpiochów.

— Po cholere? Jutro nas może wszystkich uśpią... Mamy czas!

Znowu śmiech beztroski zdaje się roznosi ściany szopy, wylewa się, jak gorące strumienie

zbuntowanego wulkanu, z pod dachu naszych bud na drogę, idącą wprost ku pagórkowi, na którym drzewa tak dziwnie odwracają swe głowy od północnego wschodu ku nam.

Bezładnie, tu i ówdzie czernieją, na tle oświetlonej słomy, leżące sylwety ochotników. Śpią. Gdzieś tam tylko pochylony nad świecą poniektóry legionista wpatruje się w jakąś, odwinietą z papierów, fotografię, albo o kolana wspartej pocztówce, kreśli niewidoczne dla nikogo słowa.

Przedziwna cisza wpelza do uszu szumem, dzwonieniem, niezrozumiałym szeptem nocy, wcielającej w duszę uczucia nieznane, miękkie, rzewne, samotne...

Jeden ze śpiących podnosi się, zagląda do torby, sprawdza ilość posiadanych nabojów, po sprawdzeniu, na poły trzeźwo widzącymi oczyma rozgląda się dokoła, kładzie się i zasypia z powrotem.

Przez otwarte drzwi, przecuciem przedświtu zbudzony, wlatuje do wnętrza budy zapach kwiatów, wsącza się nieziemską błogością w oddechy śpiących.

Jest tak miękki, lekki, łaskawy, jak spojrzenie dobrych matczynych ocz, albo jak boska opieka.

„Tout le monde debout!” Jak piorun wpadły słowa w ciszę przed wichrem i grzmotów przeciągłym akordem. Zapaliły się głowy i serca, oczy mgły senne spędzają z nagłą zbudzone świadomością całe stają w krzyżujących się błyskawicach.

„Allez, hop!” słychać z zewnątrz dolatujący przyspieszonym biegiem sierżantów

Każdy ma bombę ręczną, haczyk do przecinania nie puszczającego naprzód drutu, dwieście pięćdziesiąt nabojów, nóż ostry, krótki, do walki w wąskim okopie.

W płótno namiotu zawiniętą zapasową żywność, przewieszamy przez plecy. Dwie torby na bokach. Tornistry zostawiamy w pustych szopach.

— Gotowil

Rassemblement! Depechez vous!

— Comptez par quatre.

— Un!

— Deux!

— Trois!

— Quatre!

I znów od początku z błyskawiczną szybkością: un, deux,...

„En avant par quatre — marche“.

Godzina trzecia po północy.

Równą, szeroką linią idą czwórki jedna za drugą, pełne wiary, pewne zwycięstwa

Rozpalone skronie i policzki owiewa miękkie, rzeźwiący chłód.

Szarzeje.

Ciemna tkanina nocy zda się kurczowo chwytać niewidzialnymi rękami krzaków, ziemi, drzew, kamieni ugornych, jakby nie chcąc zezwolić na przyjście, tak logicznie tłumaczącego i prosto wskazującego na nasze otoczenie, przez noc obleczonego w jakiś fantastyczny przyodziewek — dnia. Tymczasem z za horyzontu wylania się słaby, wstydlivy rumieniec nieubłagane zbliżającego się świtu.

Niewidzialna moc ściąga ze wszystkiego żyjącego, jed n po drugim przecienkie, czarne płaszcze nocy, poczem roznosi je szybko w różne strony. Razem ze stopniowo wyraźniejszym błękitem nieba, zbliżamy się do okopów.

Wchodzimy w wąski, głęboki rów. Z maleńkich, ziemią napęcznionych woreczków ułożona ściana, wznosi się ponad nasze głowy.

Na twarzach wszystkich, idących gęsiego, ochotników maluje się pewien pośpiech i gotowość.

— Mamy czas! uspokaja Malcz. — Za chwilę dopiero zacznie się przygotowanie artylerji. W pierwszej linii szwabów nie będziemy mieli wiele do

czynienia. Na przestrzeni siedmiu, czy ośmiu kilometrów stoi ni mniej, ni więcej tylko sto trzydzieści baterji cięższych, nie licząc dwudziestu pięciu lekkich. Niedługo, a zaczną grać.

Czysta, wielka kula słoneczna wciąga się na niebo bez chmurki, bez podziału najjaśniejszym obłokiem swego niezmierzonego obszaru błękitnego.

Serca czekają. Załopocą się w piersi, jak orły pojmane, to znów ścichają niby po wieczornej burzy stary las dębowy,

Była godzina piąta rano dn. 9 maja 1915 r., gdy kędyś za górą, w miejscu niedojrzanem, jęknęła w straszliwym przysiadzie, pierwsza nasza ciężka armata.

Przyziemny grzmot wypluł na wszystkie okolice stutysięczne echo, niby groch żelazny bijący w wielki tekturowy karton. Minęły długie sekundy — chwila trwania wstrzymanego w piersiach oddechu, kiedy po tym ciężarnym przyjęku rozpętały się nad ziemią wybiegłe piekielne wysłańce; kiedy na tę, w owej chwili wyrażoną moc ludzką, zabrakło niebu i ziemi władzy, kiedy zdawało się, że zdrętwiała w niemocy wszechmożna ręka Boga, ulękła się ludzi.

Drżała ziemia, słysząc nad sobą piekielną muzykę świstów, gwizdów i wyc złowrogich, kurczyła się, gdy wewnątrz jej pruły, rwały na części niewidzialne potwory.

Pod niebieski błękit wspinały się dymy, porwane wzlatującemi w górę strzepami ciał, kawałami desek, karabinów i ziemi fontanną czarną.

Rozdygotała się ziemia, na której zaczęła się istna orgja obłąkanych duchów, skaczących, rozdzierających powietrze, tańczących taniec zagłady i śmierci.

Oniemieli z zachwytu, który oczy do świadomości wrzucały razem z każdą, do nieprzyjacielskich okopów nadbiegłą falą pocisków, staliśmy w wąskim rowie, ostrożnie podpatrując skutki pracy ciężkiej artylerji. Nad głowami naszymi z przerażliwym skowytom i wyciem gnały niezliczone pociski.

Zdawało się w powoli skupiających się myślach, że oto świat cały podzielił się na dwie wrogie sobie części: jedna przed nami wraza, nienawistna, druga to tu, za nami, ziemia bezmiernego dla nas uczucia, część świata, urągająca ziemi obcej, wyjąca gromowo z dzikiej, nienasytnej chuci zemsty i zniszczenia.

Podczas tego nieustającego bombardowania, huku i ryku armat, chcieliśmy mieć tuż przy sobie całą Polskę, by Jej pokazać niewysłowione okrucieństwo zemsty za naszą niewolę. Chcielibyśmy Polskę przekonać, że to wszystko, co się dzieje: to nie do opisania i wyobrażenia, to wszystko odbierające zmysły dzieje się tylko dla nas, jest przygotowaniem pomocy do naszego wielkiego czynu, który się ma ziścić za chwilę, by po nim zrzuciła Polska wszystkie pęta i powstała Wielka i Wolna. Świadomość istnienia w tej strasznej i niezwykle pięknej chwili wytwarzała w nas niezmierzzone pojęcie o naszej mocy, rozciągała wyobraźnię, naszą garstkę w niezliczone, bez końca idące łańcuchy tyraljery. Na tle wstrząsów ziemią, pod szatańską przegrzywką armat, dokonywał się w oddziale polskim cud roz wielokrotnienia się ducha naszego i przez nic niezłomnej, przed żadną potęgą nieustępliwej mocy naszych ciał.

Dreszcz febryczny zatrzęsł ziemią, posiwiało niebo, do mózgu przez uszy wwierał się gwałtowny ból, ciało zwarło się w sobie, oczy z orbit się wyszarpywały, kiedy o godzinie dziesiątej rano nagle ścichło, jakby skonało na rękach jakieś zupełnie nam oddane. nadludzko możliwe szatańskie bytowanie

Bulgoczący gwiazd dowódcy nakazał gotowość

Rozjęczała się cichość straszliwa. Na chwilę jakby zaślepiłe uszy zbierały strzępy skaczącego, wymacującego ostrzejsze dźwięki—słuchu.

W interwale, między rozgrzmotem armat, na gło przerwanym i bulgocącym gwizdkiem dowódcy,

wichr jakiś błędny panoszył się w mózgu, krew ścinał, jęczał w każdym atomie. Wielkimi krokami, które wykonywały struchlałe nogi, wymacujące, niby w ciemni nocnej, grunt pod niemi, doszliśmy do poste d'ecoute.

Władza zmysłów wracała. Oczy zatopiły się w kłębach przewalającego się po ziemi dymu.

Z za pleców, uderzając w nie, nadleciała melodja refrenu Legji Cudzoziemskiej, wnet po niej pobudka: „A la baionettes“. Sortez par un! Vers à gauche en tirailleurs, a quatre... .. archel En avant en avant! A la baionettes!

Rozdarły się gardziele polskie, piersi ogniem się zapaliły i ryk się z nich wyszarpał, tak potężny, jakgdyby miał poprzez wszystkie granice echem w Polskę uderzyć.

— Naprzód! Na bagnety!

Pochyleni szli łańcuchem rozciągniętym. Nie słysząc strzałów, bulgotania mitraljez, huku pękających szrapneli, rwali po okopconej, szerniałej od dymu i ognia ziemi, niezapomniani Bajonczycy.

Od czasu do czasu, jak mocne pchnięcie uderzały w plecy poszarpane dźwięki bez przerwy grających trębaczów.

— Na bagnety!

— Żyj swobodo! Polsko żyj!

— Vive la Pologne! krzyczy dowódca Osmonde.

Żyje teraz Polska, żyje cała w każdym sercu.

Na rozkaz: „Couchez vous!“ cały łańcuch tyraljery wali się na ziemię. Po chwili znów zgodnie naprzód.

— Tak, tak trzeba iść, jak oni idą! Brawo Polacy! — krzyczy, klaszcząc w dłonie, pułkownik Pain.

Po porwanych drutach, dołach, wywróconych kołkach i krzyżakach, wpadają w pierwszą linję okopów niemieckich, po których zostały tu i ówdzie rozrzucone resztki ludzkich ciał, trochę lepkiego błota krwi ludzkiej, porwany szynel, karabin złamany.

— Naprzód! — „En avant” słychać na zmianę polskie i francuskie słowa: słowa-rozkazy, słowa-czynyl

Idą naprzód, pędzą, jak te oszalałe ryczące pociski, przeryniają fale dymów, przeskakując przez jamy wydarte pociskiem, rwą naprzód.

Idą błogosławieni codzienną matek modlitwą, troską i tęsknotą nieprzerwaną.

Przebiegają niewielką równinę, która jakby pragnąc ich obejrzyć, poczyną drżeć cała, aż wreszcie, kiedy ją przebiegli wszyscy do ostatniego, pęka. Od wewnątrz rozszarpującej ją miny, wzbija się zwartym szmatem ziemi hen w górę, poczem dymem osłonięta, rozbita na cząsteczki opada gradem, niby do otwartej dla siebie świeżej mogiły.

Spóźniony pocisk francuski wyrывa z posuwającego się łańcucha ochotników polskich dwóch kolegów. Błyskawicą, przebiegająca wzdłuż całego ciała myśl, pali stopy, ściąga moc wszystkich zmysłów, całą potęgę ducha w oczy wszystkowidzące i w te kurczowo zaciśnięte dookoła karabinu ręce.

Minęli już drugą wrazą linię okopów

Tadeusz Golcz z rykiem nieludzkim, jak oszalały biegnie po czystej równinie, zda się, goni kogoś staje i z impetem wbija długi bagnet w plecy przypadłego do ziemi szwaba. Z trawy powstają i biegną pochyleni „kamerady” zabitego przez Golcza z kwadratową mordą „schatza”,

— Goń tych synów! Grzyj między łopatkil — krzyczy Liszkowski.

Niemcy wieją, a nasi grzeją w łeb, w pośladki, w plecy, dotąd, aż który nie klęknie, albo nosem w ziemię nie utknie.

A tego, który klęknie, to go, jak kłonicą przez prawe ramię, żeby już nie mógł podźwignąć karabinu.

Coraz więcej skupionego istnienia w chwili teraźniejszej i przeżywania jej poza wszelką myślą ostrożną, choć coraz więcej wyrzuconych z łańcucha żywych ogniw, padających na wilgotną od krwi

ziemię, bez skargi z jednym tylko przedzgonnym jękiem.

Przeskakujemy trzecią linię okopów.

Biegnie kolega Kowalczyk, trochę wyprzedził całą sekcję, przeskakuje nasyp — znika... Kilku ocalałych, ukrytych w okopie Niemców chwyciło za szynel obsuwającego się w okop wolontariusza, kłuło bagnietami, wydarło z rąk jego granat, wydarty rzucając w pierwszą sekcję.

Mija chwila, tysiączna część sekundy, a po niej w wąskim przejściu mszczą Polacy zabitego kolegę, zębami zda się chcą szarpać szyniele, ciało, krew pić... Ktoś krzyczy rozkaz: „Naprzód, naprzód! z nimi się załatwią”.

Za nami idą marokańczycy, pędzą z nożami, by oczyścić pole — oni się załatwią z „alles Boches!”.

We wgłębieniu obok rozwalonej ziemianki telefonuje oficer niemiecki. Na nasypie widać kolegę Jaceko. Chwycił za lufę karabinu, śmignął z góry kolbą — po ścianie osuwa się ciało oficera niemieckiego. Z boku czaszki, jakby wygniata na wyścaza się żółto-krwawa ciecz.

— Na lekkie skonanie, psia twoja mać! dogaduje trupowi Jaceko i biegnie naprzód.

— Mundek zabity! — krzyczy któryś z kolegów, biegnąc.

Edmund Witwigen zabity! Żal ściska krtani, do wewnątrz rozżartego serca wczuła się ciepłe obezwładniające tchnienie.

Mundek zabity, ten przedrogi Mundek, który wszy chrzczył i nadawał im takie piękne imiona niemieckie, ten Mundek, który ciągle powiadał, że ma jak najlepsze przeczucia, że wróci do Warszawy, gdzie obecnie nie palą się światła na ulicach i gdzie jego ukochana narzeczona omal sobie nogi nie zwichnęła, czemu on, żołnierz tak się strasznie zdziwił... — Ten Mundek zabity? Żal miękki, uparty, jak rączka dziecięca, wygniata z oczu łzy padające na serce, jak kamienie, gnio-

jące póty, póki się wszystko istnienie w pragnieniu zemsty nie pograży

Więc naprzód! Bez odpoczynku bez wytchnienia, naprzód!

Spieczona usta pragną pić. W gardle sucho, język, jak nieheblowany kołek. Pić!

Przez zemstę, przez spalające pragnienie zwycięstwa dorwać się wargami do czerwonej, ciepłej posoki konającego ścierwa niemieckiego i upić się nią, jak godowym, odurzającym napojem.

Odległe jeszcze niedawno od siebie końce łańcucha polskiej tyraljery, coraz bardziej zbliżają się ku sobie.

Roje kul mitraljezowych, padające z sykiem przed nami, przelatujące nad głowami, każą przypaść do ziemi, kryć się w świeżo wyrwanych pociskami dołach.

Tuż za głowami naszemi w stronę pagórk^a (côte 140) żyga bezustannym ogniem polowa baterja francuska.

Oprócz suchego, podwójnego występu armat nie słychać żadnych rozkazów.

Blady, nieruchomy leży Stanisław Szejnkeller, tuż przy nim, strzelający do żywego celu leży Wacek Liszkowski. Zwykły jego uśmiech zniknął z klasycznie wykrojonych warg, linja je dzieląca opuściła się ku dołowi. Z wesołej czwórki został sam, bo mu już śmierć zabrała Janka Dobrowolskiego i kuplecistę kompanji Liszewskiego i tajemniczego, zaciętego Trzebiałowskiego.

W powietrzu zaczynają się rozpękać szrapnele niemieckie.

Liszkowski podpełza blisko do Szejnkellera zagląda mu w oczy, bierze za rękę, poczem wciąga go sobie na plecy, przykrywa nim swoją głowę. Tak zabezpieczony zaczyna raz po raz strzelać do wychylających swe kwadratowe łby Niemców. Na gle raniony w czoło, przechyla boleśnie głowę, kurczy się cały, chce wstać, nie może.

„En avant, toujours en avant“, jakby z pod ziemi, wrywa się głos cichy, raczej prośby, niż komendy, dowódcy Osmonde'a. Zrywa się garstka, prze naprzód coraz mniejsza, coraz zapamiętała, nie widzi, że już jest prawie sama, że poza nią tylko zorana pociskami ziemia, zasłana trupami, krwawa.

Niemcy uciekają. Niektórzy dopędzeni podnoszą ręce, klękają, wyciągają fotografie żon, dzieci, niemi błagają litości.

Jedna z escouades wpada w kępę zarośli, z rąk niemców wydiera mitraljezę, bierze do niewoli wyszczepionych żołnierzy.

Pojedynczo, rozsypani tu i owdzie okopują się wolontariusze — są sami. Nie słyszą żadnej komendy, żadnego rozkazu.

Na zajętej przestrzeni leży rozrzucona garstka Polaków.

Nie widać ani jednego oficera, sierżanta, nikogo ze zwierzchników

Kapral Kijewski z resztą swojej escoude'y zrywa się jeszcze raz, chce iść naprzód — przypada do ziemi.

Nagle z za niewielkiej góry rozsypani w tyraljerkę ukazują się niemcy, chcą okrążyć resztki bohaterów.

Okopani, zasłonięci woreczkami napelnionymi ziemią, czekają wolontariusze czegoś, coby silniejszym było ponad to wszystko, co przeżyli, czekają już chyba śmierci tylko.

Spokojne, niczem nie straszące się oczy, spoglądają wokół siebie.

Grupa kolegów gramoli się na stóg siana, ciągnąc za sobą mitraljezę.

Co parę sekund stoczy się z góry ze stogu martwy ochotnik, spada jak ciężki owoc z jękiem na czarną, stratowaną ziemię

Nowy się drapie, chwytając się zeschłej trawy, wyciągniętych rąk...

Ze szczytu stogu zaczyna grać mitraljeza, bulgocze. Przed głowami leżących Niemców podnosi równą wstęgę kurzu, a po chwili widać, jak z wrzęgo łańcucha wyrzuca po kilka ogniów.

Zdemoralizowani Niemcy, którym garstka Polaków wydała się całą armją, uciekają w popłochu, albo wbijają swe karabiny bagnietami w ziemię na znak poddaństwa; na znak upokarzającego, ale panującego teraz wśród nich lęku.

Oto po przejściu pięciu kilometrów, rozwścieczone gromadki Polaków w opętaniu bezlitosnem, sugestjonującym wroga zapędzają do niewoli setki Niemców. jak stada wylękłych baranów.

O późnem popołudniu nadeszła zmiana.

Resztki oddziału polskiego, dziwnem losu zrządzeniem, jeszcze żyjące, mogą zejść z pola walki.

Teraz dopiero obejmuje bohaterów cudnego wiosennego dnia, dziwny lęk.

Dokąd pójść, po co wracać, dlaczego porzucić miejsce, gdzie krwi potokami, stosami ciał, okupione zwycięstwo, tak rozpięknioło horyzont dalszej walki, tak zbliżało cel...

W przeskoczony parę godzin temu, do polowy zasypyany okop, spełzają z podziurawionej powierzchni ziemi, nieliczni tak bardzo (kilkunastu zaledwie) ochotnicy polscy.

Wychylają głowy ponad nasypy okopu, rozglądają się dokoła.

— Tamtędyśmy szli — pamiętasz?

— Jakie dziwne nazwy, np. ten „Cabaret Rouge“?

— Czerwony, to czerwony! „Lasek obłądny“.

Dlaczego go tak nazwali „Bois de folie“?

— Co, może nie zwarjowany?

Wolno, niedostrzegalnie ssączał się głęboki mrok na pobojuwisko, gdzie już teraz nikt nie rządził, gdzie we wmadlającą się w ziemię i niebios

ciszę, wczuł się jęk głuchy, jakby odpowiedź poszarpanej, bezradnej ziemi.

Przyziemny, miękki wiatr wiosenny, całując ciepłe jeszcze trupów skronie, samotnie podchwytywał: „Requiem aeternam...”

Przed nami, w stronie wielkiego Polaków zwycięstwa, padają rzadkie, karabinowe strzały.

Tu i tam budzi mrok światło lampki elektrycznej. Sanitarjusze wyszukują rannych, których jeńcy niemieccy odnoszą na „poste de secours”. Jakże teraz ostrożnie niosą Niemcy Polaków ranionych ich kulami, możeby tak tylko odnosili swego kajzera do ich Boga na wieczny z nim kłopot.

Słysząc rozmowę polską.

— Trup!

— Oddycha.

— Ale gdzież tam!

— Morawski?

— Tak! A Malcz?

— Dostał trzy kule, Zawieja go opatrywał, nie skończył opatrunku, kiedy go strącili.

— Patrz, Franken leży!

— A tu Chociszewski, całe piersi ma rozwalone.

— Eee! Tu ranny! — woła czyjś głos.

Sanitarjusze śpieszą w stronę, skąd doleciał pokorny, chrapliwy szept.

— Batkiewicz! Co tobie? Mów bracie!

— Kolanko nadwyrężone! ze spokojem nie do uwierzenia, odpowiada, jakby ze snu Batkiewicz, przewzany przyrodnikiem.

Ostrożnie składają sanitarjusze cichego Batkiewicza na mokre od krwi nosze. Przy podnoszeniu, Przyrodnik, któremu pocisk oderwał nogę wyżej kolana, syknął i krzyknął:

— Psiakrew, ale doskwiera!

Kolanko nadwyrężone! Kolanko polskiego żołnierza!

W wyrwanych pociskami dołach grzebią umarłych.

— — — — —

Trzydziestu kilku Polaków odwiezionych wielkimi samochodami na odpoczynek — leży w drewnianej szopie, jakby przykucniętej i bokami wypiętej do drogi prowadzącej w kierunku Arras.

Zwleczone prawie siłą niedobitki oddziału polskiego rozmawiają o niedawno minionem dniu.

— Widzieliście Wejnberga?

— Ja jeszcze go widziałem, kiedy blady, jakby obłąkany siedział na trupach w dziurze od obusa (pocisku).

— Nie wiecie, który wykonał takie salto mortale z mostu?

— Brauman! Kiedy wszyscy już przeszli, on, trochę może spietrany, został i razem z mostem w powietrze.

— Patrzcie! ani jednego ofika nie zostało, a z szesnastu trębaczów tylko jeden żyje.

— Myśmy choć mieli przyjemność, ale Belgijczycy... Co?

— Jak stali w lasku w rezerwie, tak i zostali.

— Franken taki psiakrew odważny, a przed atakiem przybladł, dreptał z miejsca na miejsce, z nogi na nogę — mówi:

— Mam siedmset franków, weź je, czuję, że mnie zakatrupią.

— Dwie kule dostał.

Przed szopy zajeżdża na białym koniu generał Blondela, za nim kłusem nadjeżdżają major i porucznik wojsk kolonialnych.

— Ou sont les polonais? Fair les sortiz! — rozkazuje stary generał.

Leniwie, powoli wychodzi reszta żywych wolonariuszów. W ciągu kilku dni zwlokło ich się jeszcze może z dziesięciu, z pół, niedawną walkę otaczających.

Jest ich teraz niespełna pięćdziesięciu, obdarcy, bez przykrycia na potargane głowy, ustawiają się w dwurząd, czekają.

Najedzona wyobraźnia nie kłóci zupełnego spokoju, który teraz wszechwładnie panuje, mimo, że jest on taki niewypowiedzianie dziwny, taki jakis chory spokój.

— No, gdzież są Polacy? — pyta zniecierpliwiony generał.

— Jesteśmy, generale! — odpowiada cała nasza władza i zwierchność — jedyny kapral.

— Jakto, wszyscy?

— Wszyscy, generale!

— Tak, tak... to dobrze... to bardzo dobrze... tak!... — coś się płacze staremu generałowi, który z ledwością powstrzymuje rwące mu się na usta zdziwienie, więc cicho powtarza: wszyscy, wszyscy...

Wszyscy będziecie nagrodzeni. Dzielni jesteście, bezprzykładnie dzielni!

Wszystkim dać stopnie wojskowe! — zwrócił się do adjutanta.

Nieza długo pójdziecie do nowego ataku! — rzucił generał i odjechał na pole, gdzie wyszykowana stała reszta naszej dywizji marokańskiej. Na czele z muzyką, która na instrumentach piszczałkowato-bębnowych, wygrywała marsze wojskowe.

Szczęśliwym wybrańcom generał Blondela przyczepiał do piersi krzyże wojenne i medale wojskowe.

Polacy wówczas nic nie otrzymali, nie miał ich kto proponować do nagrody, wszyscy bowiem oficerowie oddziału polskiego polegli na polu chwały.

16-go czerwca 1915 roku pod N. D. de Lorette staliśmy w drugiej linii okopów, jako rezerwa 156 pułku piechoty francuskiej.

Bardzo nieliczna nasza garstka była obiecana zachętą dla wojsk mających prowadzić atak.

W nocy na dany znak 156 pułk ruszył do ataku na okopy Niemców, którzy prawie jednocześnie wyruszyli do ataku na Francuzów.

Starcie było piekielne, po którem niemcy zaczęli powoli cofać się póty, póki nie znaleźli się w okopach, z których byli wyszli.

Ukryci między ścianami głębokich rowów zaczęli bić salwami, nietylko z karabinów pojedynczych, ale i maszynowych do nacierających na nich Francuzów. Skutki tego manewru niemieckiego były straszne dla 156-go pułku, który został zupełnie rozbity.

Nie wiedząc, kto zwycięża, staliśmy, nie słysząc ani jednego rozkazu do chwili, aż skradający się niemcy znaleźli się przed samymi naszymi okopami. Wówczas bez żadnej komendy wyższych zwierzchników ruszyli Polacy do ataku. Nierówni z wrogiem liczebnie, ruszyli pod gromowy akompanjament artylerji — naprzód! Poprzez gromady francuskich trupów wpadli do okopów 156-go pułku francuskiego, gdzie byli już żołnierze niemieccy. Wola zwycięstwa poniosła ich znów. Wskakiwali do rowów i jak obłąkani, rycząc z zawziętości i krwawego upojenia, wbijali swe krótkie noże wojskowe w piersi niemieckie.

Trwała ta krwawa rozprawa sekundy, po których z opętanego pragnienia zwycięstwa wyrwali się z okopów i naprzód, jak upiory, krótko, ale straszliwie żyjące, niczego, prócz chwili niepomi, wdarli się w pierwszą linię okopów niemieckich. W same piekło walki na noże, zęby, bagnety zerwane z karabinów, wpadła pomoc francuskich strzelców alpejskich.

Zwiało bractwo niemieckie.

Ochłonęli Polacy.

Wtem zapalił się ziemi poszarpany horyzont, po którym goniły się czerwone, galopujące ognie. Po chrapliwym jęku rozległ się szatański chichot.

Przed nas, w nas, obok nas zaczęły się walić niby smoki, wielkie pociski, jeden za drugim, jeden za drugim, coraz częściej, coraz więcej, a wszystkie ryczące, syczące, zię,

Szaro sine kłęby zaczęły pokrywać poranione stękające pole, jak fale rozpylonej lawy, staczały się do okopów, wyciskając łzy z ocz, mdłym pachnieniem, ciężkością dziwną w piersiach osiadając i dusząc. Wyraźnie coś zaczęło paraliżować każdy ruch, kurczyć i rozpręzać ciało, zabijać.

Janek Rotwand zatruty dymem gazowego pocisku, zatrzepotał rękoma, niby ptak, schwycił rewolwer i wyskoczył z okopu. Kilka kul karabinowych uwięzło mu w piersiach — legł. Przyszła zmiana.

Na „odpoczynek“ mijając niezliczone skręty w okopach szło już tylko kilku ostatnich Bayonczyków.

Wczesny, szary przedświt, coraz jaśniej i wyraźniej uwidaczniający otoczenie, wskazywał nam zgoła osobliwe obrazy, już kiedyś, prawda, tak niedawno, trzy tygodnie temu widziane sceny.

Oto wlecze się kilku Niemców, prawie, że nagi, trzymających się za ręce i wybełkotujących jakąś melodię. Dalej jeszcze paru obłąkanych, teraz nieszkodliwych wrogów zatacza się i z błędnego przestachu już się niczego nie boi.

Co chwila, a poniektóry z nich wstrząsa się cały, potem, jak słup staje w bezruchu zakłęty, albo zapatrzonej w łodygę maleńkiej trawki, czule rozmawia z nią, klęka i całuje, ona bowiem ponoć jest jego żoną,

A inni jeszcze są milczący i tak śmiertelnie obojętni, że dłubią własnymi palcami w ciemnych, od krwi, wkoło zaskrzepłej, ranach.

Przechodzimy dalej, patrząc na te straszne i ohydne zarazem sceny z uczuciem, które mimo wybliski współczucia zamyka się w wykrzykniętej przez jednego z Bayonczyków nieustępliwej zawziętości i żądzy zemsty.

— Ścierwy plugawe, to za Szujskiego, za Malczą, za Rotwanda, za... — urywa, bo mu się tak boleśnie kurczy serce i falę krwi gorącej budzi upiorne, nie dające spokoju, pamiętanie minionego.

Rassablement! Do apelu!

Dziwny był ten apel na drugi dzień po walce, Sierżant Francuz czyta, niewyraźnie wymawiając, z jakiejś kartki znajome, drogie nazwiska: Golcz, Winiarski, Dąbrowski, Wiwiger, Wejnberg, Morawski, Liszewski, Kamiński... — czyta zdaje się bez końca, a w odpowiedzi słyszy ciągle powtarzane chórem kilku żywych ochotników z zachrypniętych gardeł wyrzucone trzy ciężkie, jak bloki marmuru słowa:

„Mort au champ d'honneur!”

W lipcu 1915 roku na podwórku koszarowym 1-go pułku cudzoziemskiego w Lyonie garstka trzydziestu kilku ochotników polskich miała do wyboru: albo wyjazd do Rosji, albo pozostanie we Francji w szeregach wojsk francuskich.

Zamajaczyła możliwość zobaczenia Polski, więc jak brzytwy chwycili się żywi wolontariusze polscy tej błogosławionej, jedynej nadziei życia i znaczną większością postanowili jechać do Rosji. Wycytane dawno już, bo jeszcze w okopach Szampani wieści o Brygadjerze, wieści, tajemnie w listach z kraju, przesłane do Francji, nagle rozbudziły w sercach ochotników przejasne nadzieje i obietnice walki na ziemi polskiej.

Z tem marzeniem postanowili jechać do Rosji, a przez nią do Polski.

Cały oddział polski prześladowała, może źle użyłem tego wyrazu, w każdym bądź razie dziwnym zbiegiem okoliczności, włączyła się data 22-go miesiąca ze wszystkimi niemal ważniejszymi wydarzeniami w historii oddziału Bayończyków.

Dnia 22 sierpnia 1914 sformował się pierwszy oddział polski we Francji — dnia 22-go sierpnia 1915 roku resztki tego oddziału opuszczały w wojskowych mundurach francuskich ziemię, której broniły tak krwawo i tak walecznie, jakby broniły granic własnej Ojczyzny.

Cały rok minął od czasu, gdyśmy gromadą, z polską pieśnią na ustach przechodzili ostatni raz przez Paryż.

Dzień 22 sierpnia 1915 roku był taki sam uparty, jak wtedy, jak rok temu.

Ze stacji kolejowej szło dwunastu tylko Bayończyków, również z pieśnią polską na ustach, do portu w Breście.

Na kotwicy stał niewielki okręt wyładowany amunicją i materiałami wybuchowymi dla Rosji

Po dwóch długich deskach przerzuconych z wybrzeża na okręt, jacyś brudni i oberwani mężczyźni wciągali i wypychali rozpaczliwie chude krowy i owce. Inni wtaczali olbrzymie beczki z winem.

Okręt ten stoi na uboczu, tak, że wielki ruch panujący w porcie zupełnie coś nie dochodził Brudny, odrapany, a przytem nie wielki, był, niby zaraźliwie chory człowiek, izolowany od wielkich, zdawało się, wypranych i odprasowanych okrętów, zgrabnych i bynajmniej zewnętrznie nie groźnych krążowników i pancerników francuskich

Z dwóch czarnych kominów zaczął się ukazywać na tle szafirowego nieba czarny zrazu, tak rzadki, że aż przeźroczysty, potem stopniowo coraz gęstszy, cięższy i czarniejszy dym Wielkie i jakby tłuste kłęby jego zasnuwały pokład, niby niezliczone nici pajęczych tkanin.

Było już pod wieczór. Bezmierny obszar oceanu zdało się, wypoczywał po niedawnych może, wielkich wstrząsach wewnętrznych albo gniewach z przyczyny Bogu jednemu wiadomych. taki był wówczas cichy zadumany i dostojny, że wszystkim cichość nakazywał.

Gdy czerwone błyski, zachodzącego słońca zaróżowiły goniące się gdzieś w bezkres drobne fale, weszliśmy na pokład dziwnego okrętu.

Z wybrzeża kilku marynarzy francuskich zęgnął nas przyjaznem machaniem rąk i życzeniami dobrej podróży. Na pokładzie jaden z krzątających się cywilnych brudasów, witał każdego z wchodzących pytaniem:

— Tas pas peur?

— Et toi? — zapytywano go w odpowiedzi.

— Moi? O jai m'en f., seuleiment je n'aime pas aller en Russie, surtout a Archangel, sacré mon — dorzucił przekleństwo i splunął żółtą śliną od tytoniu poprzez żelazną poręcz, aż w ocean.

Syrena okrętowa wyjęczała przeciągle „Jrmuzl“ Wewnątrz okrętu zawarczało, jakby olbrzymie tryby żelazne otarły się o deski pokładu! Dziób okrętu wparł się w wodę, a tył rozkołysał dokoła i zbałwanił przycichłe fale.

Płynęliśmy. Ostatnie domy portowego miasta cofały się w głąb, uciekały precz od naszych oczu. Po kilkunastu minutach podróży wszystko dokoła nas traciło swoją materjalność, rozpływało się w mgle i migotliwym pobłysku resztek słonecznego światła i gorąca. Oparci o żelazne poręcze, staliśmy na pokładzie aż do późna w noc, kiedy ocean znagła zaczął sprawować jakieś swoje dziwne, ponocne obowiązki.

Teraz dopiero po kilku godzinach podróży zaczęły myśli nasze njejako odważać przeżywaną terazniejszość, snując z niej szereg widzeń.

Wszyscy myśleli o Polsce. Po długiej tęsknocie ona prześwieślała nam teraz oczy powiekami przysłonięte jasnością cudowną, uwidaczniała się wyobrażenia, jako kształt doskonały i duch najmóżniejszy. Daleka ziemia ogniem oczyszczona i krwią obmyta, przyobiecana w wolności przyszłym pokoleniom.

Jechało tych piętnastu niedobitków polskich z śmiertelnem za nią utęsknieniem, wielką nadzieją i wiarą ponad wszystkie cienie wątpliwości.

Jechali: Biernacki, Kijewski, Kozierowski, Filipowicz, Świrski, Piotrowski, Komorowski, Gałazka, Joch, Ślusarski, Zbitowski, Buczyński, Błaszczński, Żyznowski i Hnizdil.

Po północy ocean zaczął się podnosić i opadać, niby piersi człowieka w gorączce. Od czasu do czasu wielka fala waliła się aż na pokład, po czem rozbita, pospiesznie i trwożnie, bez uprzedniej mocy, spływała cienkimi ściekami z powrotem do oceanu.

Tuż obok kotła stały przywiązane za rogi krowy, za niemi zupełnie „zbaraniałe” chwiejące się na nogach — owce.

Z wyjątkiem dwóch odporniejszych kolegów, reszta, mimo, że znajdowała się jeszcze na Atlantyku dobijała w sposób pożałowania godny do Rygi.

Choroba morska gnębiła nas przez całe dwie doby, po których zaczęliśmy widzieć, jeść, słowem, jako tako żyć.

Miejscem, gdzie wraz z innymi towarzyszami podróży spędzaliśmy noc, była niewielka przesterzeń pod pokładem, wysokości najwyżej półtora metra.

W końcu tego pomieszczenia znajdowała się półmetrowa dziura, która, jeśliby nie była do połowy zasłonięta jakąś skrzynią, o nieznanej nam zawartości, rzuciłaby zapewne do tego lochu na okręcie trochę światła i nieco świeżego powietrza.

I tam, podobnie jak w ziemiankach pierwszej linii okopów, panowała ciemność, cuchnęła stęchłizna i niepokoili wielkie wszy wojenne. Do lochu schodziło się po jakiejś, nigdzie niewidzianej parodji schodków, których miało być czternaście, a było zaledwie cztery. Schodzenie było waleniem się

w ciemność, jak to mówią, na łeb na szyję, wychodzenie — gramoleniem się, powtarzaniem po kilka razy od początku. Po trzech dniach dopiero, potwierdzając przysłowie, że potrzeba jest matką wynalazków, becзка po wypitem winie ułatwiała nam wspomnianą, wielce ryzykowną i skomplikowaną czynność schodzenia i wychodzenia z lochu na pokład.

Na czwarty dzień drogi, gdy już wszyscy przeszli chorobę morską i zaradzili niektórym, wprost nie dającym się opowiedzieć niewygodom, zaczęło się mniej więcej możliwe życie w podróży, która mogła się z wielkiem powodzeniem skończyć na dnie morza. Jakaś tajemnicza władza okrętowa celem zapobieżenia tej przewidzianej możliwości, uzbroiła nas w gumowe naszyjniki, które po odpowiednim ich nadęciu, zdolne były utrzymać głowę nad powierzchnią morza w ciągu dziewięciu godzin, licząc przezornie, że rekin, albo inne morskie bydlę jada najwyżej trzy razy dziennie. Naszyjniki były przez kilka godzin pewną zabawką dla pasażerów, którzy chętniej by się zgodzili na to, że jakaś torpeda wysłana z podwodnej łódki niemieckiej przewierci ich żywot szybko i skutecznie, niż na takie bujanie, zwarjowanej ze strachu głowy, na pełnym oceanie o kilkaset kilometrów od miłego lądu. Drugim pocieszeniem, iż nie zginiemy, były straty z beczek, połączonych deskami, które również bynajmniej nas nie przekonywały i nie utrwały w nas zupełnej pewności bezpieczeństwa. Postanowiliśmy w razie jakiegoś bezwzględnie grożącego nam niebezpieczeństwa, raczej wystrzelić sobie z własnego, wypróbowanego rewolweru w łebek, niż pływać na beczie nawet z pęcherzykiem. Oprócz piętnastu Bayończyków jechało z nami sześciu semitów rosyjsko-międzynarodowych, kilku francuzów i kilku Rosjan. Semici grali bez przerwy w karty, ożywiście na pieniądze. Grali od wczesnego rana aż do późnego wieczora z zapalem, ze świetną rasową gestykulacją i wymową. Zgodnie z teorią prawdo-

podobieństwa, semita zgrany rano, wygrywał wieczorem, stąd też żaden z nich, choć zupełnie przegrany, nie tracił nadziei, nie tylko odegrania się, ale i wygrania.

Pewnego wieczoru jeden z grających oświadczył, że przegrał sto dwadzieścia franków, drugi — ośmdziesiąt, trzeci — „prawie“ ze sto, czwarty nie tak dużo, ale też „sumę“, piąty się przyznał, że miał tylko dwadzieścia franków i te przegrał — szósty oczywiście wygrał. Wszyscy przegrani na potwierdzenie prawdy zaklęli się na Boga (kłaliś Bogom) i dali „czestnoje słowo“, na co Kola, ów właśnie szósty, wygrany, po przeliczeniu pieniędzy przysięgał na Boga, również dając „czestnoje słowo“, że wygrał ogółem sześćdziesiąt dwa franki i że wobec nieuczciwych zeznań swoich kolegów grać więcej z nimi nie będzie. Przegrani zaczęli wymyślać Koli od kanalii, szulerów i żulików, nie dlatego, iż on jakoby mówił nieprawdę, lecz, że nie chciał z nimi grać. Po gruntownem zwymyślaniu Koli, pięciu przegranych semitów zmieniło system postępowania w stosunku do wygranego, zwracając się do niego w miejsce wymysłów z prośbami, by choć „małą partyjkę“ był łaskaw zagrać. Kola dał się namówić. Znowu, zgodnie z teorią prawdopodobieństwa, wygrany zaczął przegrywać, opamiętawszy się jednak, już po stracie czterech franków, nawymyślał swoim towarzyszom najgorszymi, ozdobnymi słówkami mowy rosyjskiej, a karty rzucił do oceanu, dla rozrywki mieszkańców podwodnych.

Rosjanie śpiewali solo i chórem przenajrozmątsze pieśni rosyjskie, pozatem zamartwiali się brakiem paszportów, co mogło, Bóg wie, czem grozić przy znalezieniu się na ziemi ojczystej. Francuzi z właściwą im beztróską, rozbijali sobie ręce o piłkę bokserską, zawieszoną na linie, podkradali wino i z iredycznym uśmiechem zapytywali Rosjan: co np. robi mąż, gdy „mischa“ niedźwiedź zniewoli jego żonę?

Załogę okrętu stanowili portugalczycy, anarchiści-teoretycy, zaczytujący się Krapotkinem, po-
zatem bardzo zręczni złodzieje mienia pasażerów.
Kapitanem okrętu był Anglik o czerwonej, kwadra-
towej, zawsze świetnie wygolonej twarzy, wypatru-
jący przez lornetę periskopu łódki podwodnej.

Pewnej nocy, śpiący w hamaku, od dnia zer-
wania stosunków ze swymi towarzyszami, Kola
i śniący jakiś okropny sen, zaczął krzyczeć przera-
żliwym głosem: „Sumaren, sumaren! (łódka pod-
wodna) Gaspada naduwajcie puzyrki!“ (panowie
nadymajcie pęcherzyki). Oczywiście skutek krzyku
Koli był nie do opisania. Wielu ze śpiących za-
częło dmuchać w naszyjnik z taką energją i siłą,
że guma nie wytrzymała i pękała z hukiem wy-
strzału rewolwerowego; pozatem wszyscy, zupełnie
rozebrani, pchali się w kierunku wyjścia. Alarm
Koli okazał się fałszywym, o czym można było się
przekonać wcześniej, gdyby nie to, że Kola sam
pchał się na bezkę celem wydobycia się na po-
kład, a co ważniejsza, stracił zupełnie na kilka go-
dzin i tak zaszarganą mowę. Po stwierdzeniu bez-
podstawności alarmu semity, śniącego w śmiertel-
nym pocie grozę niebezpieczeństwa, Kola zachow-
wał dla pamięci kilka porządnych szturchańców.

Objaśnieni, że podróż nasza do Archangielska
trwać będzie najdłużej szesnaście dni, z radością
żegnaliśmy każdą uchodzącą wstecz dobę. Mijała
właśnie ósma, gdy pewnego wieczora, zostaliśmy
oślepieni szerokimi promieniami światła reflektor-
ów, otaczających nas dookoła. Nie widząc nic,
prócz zalanego światłem pokładu, domyślaliśmy się,
że jesteśmy pochwyteni przez eskadrę niemiecką,
która nas, albo zbombarduje, albo weźmie do nie-
woli. Po chwili dostrzegliśmy, jakby z pod ziemi
wyrośli marynarzy angielskich, którzy po zamię-
nie jakichś tajemniczych słów z kapitanem, wiozą-
cego nas okrętu, zaczęli się serdecznie witać z nami.
Chwila lęku pierzchnęła. Posypały się pytania o stan
na frontach, o Warszawę. Wszystkie odpowiedzi

były pocieszające, najbardziej zaś ta, że Niemcy, odrzuceni daleko poza Warszawę, cofają się z ogromnymi stratami do granicy. Patrolujący krążownik wraz z dwoma torpedowcami wnet zginął, poczem na chwilę zatrzymany okręt nasz ruszył w dalszą drogę.

Wieści o odparciu wojsk niemieckich z pod Warszawy spotęgowały jeszcze bardziej tęsknotę za Polską, tembardziej, że wśród nas byli i tacy, którzy od kilkunastu lat nie byli w kraju. Starannie omijając wszelki ląd, po dziesięciu dniach dziwnie męczącej podróży, znaleźliśmy się na oceanie Lodowatym, gdzie w ciągu całej doby nie ginęły z powierzchni wody chłodne, jasne mgły i gdzie noc nie schodziła, by je ściemnić na jedną choćby godzinę północy.

W miarę wzrastającego oczekiwania końca podróży, co aż bardziej powoli włókł się nasz okręt. Zanudzana naszymi pytaniami, załoga odpowiadała, że już znacznie bliżej, jak dalej, oczywiście jeśli przy wjeździe w Białe morze nie zatopi nas w tem najniebezpieczniejszem miejscu jakaś podwodna łódeczka szwabska.

Sądząc po zaprowiantowaniu, mieliśmy zupełne prawo mniemać, że cel naszej podróży jest już zupełnie bliski i że zaledwie kilka dni drogi dzieli nas od niego.

Na pokładzie wprowadzie pozostały przy życiu jeszcze trzy krowy i dwie owce, co po dokładnem wyliczeniu spożywanej co dnia ilości mięsa, pozwoliło nam przypuszczać, że po pięciu dniach dobijemy do Archangielska, jeśli oczywiście na Białem morzu i t. d.

Właśnie w dniu tych dokładnych obliczeń raz po południu zaczął padać deszcz, a rozkołysany ocean podrzucał nasz niewielki okręt, niby piłkę. Znowu przypomniła się Ryga, tym razem jednak na bardzo krótko. Z powodu tej burzy, czy jak tam nazwać tak nieprzyjemną historję z kołysaniem, najbardziej cierpiały trzy pozostałe krowy. Przy

każdem przechyleniu się okrętu w tę, lub inną stronę, biedne, wychudłe stworzenia rozkraczały szeroko, tak jak tylko były w stanie, tylne nogi, padały na kolana przednich i waliły się całym ciężarem na mokrą od deszczu blachę, pokrywającą pokład. Nieszczęśliwe cienie krów, po każdorazowym upadku resztkami siły wstawaly, by się za chwilę znów zwalić z jękiem i tak oczekiwać na łaskę śmierci.

Zgrabniejsze i podkarmiane przez nas owce, obijały sobie znów wzajemnie niemiłosiernie boki i łby.

Gdy zostały na pokładzie już tylko pojedyncze przedstawicielki krowiego i owczego rodu, byliśmy święcie przekonani, że najdalej za dwa dni podróż nasza się skończy, tak wreszcie sądził i małowówny kapitan okrętu!

Nad rankiem dnia trzynastego naszej podróży, gdy minęła pierwsza po kilku jasnych, jak dzień, noc ciemna i ponura, wszystko dokoła nas, a więc nawet najbliższe wzrokowi fale zaczęły tracić swój kształt. Powietrze nabrało szaro-sinego koloru. Mgła gęsta, ciężka, nie dająca się przeniknąć oczyma, zawlekła każdy kształt, zatarła kontur, zostawiając zaledwie dostrzegalne wzrokiem cienie sylwet ludzi i rzeczy. Popołudniu zaprzepaściła już zupełnie w odmęcie swoim wszystko żywe i nieżywe. Zdawało się, że ocean, powietrze i niebiosy złączyły się w jeden mgławicowy chaos. Na odległość dwóch kroków nie sposób było pochwycić wzrokiem cienia zbliżającej się sylwety ludzkiej.

Na rozkaz kapitana okrętu, rzucono kotwicę w mętną głębię powietrza i wody. I oto, niewiedząc w jakich stronach, gdzieś bliżej bieguna północnego, niż jakiegobądź skrawka, przez ludzi zamieszkiwanego, ładu, zatrzymaliśmy się na głód i mękę, wprost nie do opowiedzenia.

W ciągu sześciu dni bez przerwy, choćby na jedną małą chwilę, w dzień i w nocy wyła syrena, niby gromada ludzi powolnie konających

z głodu i beznadziejności zupełnej. Przez całe sześć dni i nocy, również bez przerwy, jęczał na nosie okrętu wielki dzwon, pod którym stojący na zmianę, co dwie godziny, brudni portugalczyki kołysali jego ciężkie serce, uderzając niem o ściany mosiężnego kielicha.

Wyczerpani ostatniemi przeżyciami, Bayończycy, nie widzący nic, prócz ostatecznego celu swej podróży — Polski, poddawali się całej tej męce z jakąś bierną, niemą powolnością. Beznadziejne hu-czenie syreny okrętowej wraz z monotonnym jękiem dzwonu, nie dopuszczało możliwości normalnego myślenia. Maniacko wytężona w jednym kierunku wola, wytwarzała pewne halucynacyjne widzenia. We mgle, albo w ciemni lochu rysowała kształty i rysy drogich twarzy, ciągnęła wzrok w perspektywę ulic Warszawy, prowadziła znajomemi drogami w miejsca, wiążące się z ważniejszymi, dawno minionemi przeżyciami, słowem opowiadała każdemu jego życie wyraźniej i szczegółowiej, niż by to zdołała powtórzyć pamięć.

Już na trzeci dzień przymusowego postoju, zapasy naszej żywności zostały wyczerpane. Pozostało jeszcze trochę wina czerwonego i ryżu. Wino wypijaliśmy na śniadanie po pół szklanki; co rano. Na obiad i kolację otrzymywaliśmy od kucharza po ośm niewielkich łyżek na pół ugotowanego ryżu.

Obydwie te porcje mieściły się w szklance. Prawda naszego życia, a głównie, na jego najbliższą przyszłość, stawała się coraz bardziej gorzką. Dzień zamienił się w niecierpliwe oczekiwanie porcji ryżu, który też już był na wyczerpaniu. Kapitan okrętu był w rozpacz. Po długich próbach radio-telegraficznego porozumienia się ze stacją w Archangielsku, przyobiecano wysłać na nasze spotkanie kilka torpedowców rosyjskich, mających nas zaprowadzić, głównie zaopatrzyć w węgiel i eskortować do zatoki. Po dwóch dniach próżnych oczekiwań, kiedy wszystkie możliwe zapasy się wyczerpały, kapitan, bojąc się, byśmy nie rzucili się na żelazny

kapitał żywnościowy, składający się z sucharów i konserw, a przeznaczony dla załogi, i siłą tegoż nie odebrali, zdecydował się mimo wszystko wyruszyć w dalszą drogę. Popłynęliśmy. Syrena nie przestawała huczeć, a dzwon jęczeć, gdyśmy oto po dwóch dniach i nocach dobijali do portu w Archangielsku.

Na progu carskiej Rosji

Wbrew naszym oczekiwaniom, iż wnet po ostatnim zatrzymaniu się naszego okrętu w porcie, będziemy, jako żołnierze wojsk sprzymierzonych jako tako przyjęci — okręt nasz z rozkazu władz rosyjskich został osadzony na kotwicy w odległości kilkuset metrów od wybrzeża. Trudno było ludziom wycieńczonym do ostateczności, przypuścić, że miasto przysłania nam, choćby suchego chleba, przedstawiciele rządu rosyjskiego w Archangielsku przysłał nam kilkudziesięciu żandarmów, agentów ochrony i t. p. szubrawców carskich od spraw politycznych. Zrewidowani dokumentnie, wybadani przez jakichś opryszków, trzymających pod pachami wielkie albumy z fotografjami przestępców, zostaliśmy powiadomieni, że za chwilę przyjdzie admirał, by nas powitać.

— Wszystkie azjatyckie, kałmuckie i mongolskie cholery na jego ciało i paraliż na jego admirałską głowę! — wypowiedział głośno życzenie swoje jeden z kolegów, na którego kilka par żandarmskich oczu wcale groźnie popatrzyło.

Po rewizji i zapowiedzi łaskawego admirałskiego powitania głodomorów polskich, okręt dobił do brzegu.

W otoczeniu wyższych oficerów marynarki i żandarmerji zjawił się na pokładzie admirał — figura z brodą i watowaną piersią, typ „sacharnika“ z ulic stolicy „prwislinja“.

Admirał wychrypił jakąś mowę, wykrzyknął jakieś „da zdrastwujet“ i „ura“ i zdaje się czekał od nas odpowiedzi, której nie otrzymał. Ceremonja

się skończyła, ku zgorszeniu żandarmów, którzy odrazu chcieli nas nauczyć tej stereotypowej odpowiedzi: „Zdrawja żelajem wasze prewstwol” — oczywiście napróżno.

Głód wyżył nam kiszki, aż do zawrotu w głowach.

— Jeść, jeść, prędzej do cholery jeść i popalić coś! Jeść do stu djabłów! — powtarzali naprzemian Bayończycy na przekłętą ziemi rosiejskiej, gdzie jednego z kolegów jakaś baba, nagle rozparta duchem patriotycznym, uderzyła w plecy, piszcząc:

— A, popaliś Awstrijcy!

— Swołoczi, wiengierskije gusari! — dopowiedziała druga.

Takich istinno rosyjskich powitań przez tubylców musieli wysłuchać wygłodzeni Bayończycy tyle, że w pewnej chwili jeden z kolegów, wzięty za austriacka i popchnięty przez jakiegoś miejscowego chama, takie mu „cou” zaaplikował w „machoire”, że cham rozłożył się jak długi — na długo prosto w olbrzymią kałużę.

Przez dwóch żołnierzy miejscowego garnizonu zostaliśmy odprowadzeni do koszar. Po drodze, w jednej z herbaciarni nabyliśmy za dwie brudne koszule trzy bochenki świeżego chleba razowego, który smakował nam lepiej, niż langoust w majonezie, albo to marzenie Polaków na obczyźnie: kotlet wieprzowy z kartoflami i kapustą.

Na zapytania nasze, zwrócone do prowadzących nas żołnierzy: co słyszać pod Warszawą? — otrzymaliśmy jedyną odpowiedź: „wsio błagopalućznol” Trudno było przypuścić — żeby żaden z tych „gierojów” nie wiedział prawdy o Warszawie i mimo, że wielka tęsknota ciągle nakazała niepokój, wierzyliśmy im.

Jakże jednak byliśmy dalecy od tej prawdy, która niezadługo zmiażdżyła nas i zasłoniła wszystko życie w najbliższej jego godzinie! Oczy zawlekła wszystko słońca mgła. Dla znużonego ciała, udreżonego tęsknotą serca, nie stało przystani.

Nakarmieni kapuśniakiem i razowcem, dnia drugiego od przyjazdu do Archangielska, czekaliśmy na rozległym placu przed malinowo-pomidorowym budynkiem koszarowym, na przyjazd gubernatora miasta. Czekaliśmy niedługo. Lekką kibitką, zaprzęzoną w karego rysaka, zajechała przed koszary czerwona, niemiecka morda, rosyjskiego dygnitarza. Po obejrzeniu bezładnie stojących Bayończyków, pan gubernator wykrzyknął z pasją deliryka:

— Zaczem wy, sukinsyny, zdieś prijechali?!

Na takie pytanie trudno było doprawdy coś odpowiedzieć, bez namysłu więc wszyscy Polacy, jak na komendę odwrócili się plecami do dostojnika, który rozjuszony do ostateczności, zaczął nam wymyślać słowami, nie dającemi się nigdzie i nigdy powtórzyć. Długo by zapewne gubernator Archangielska delektował się smakiem niektórych słów rosyjskich, gdyby nie to, że kilku z nas — poddanych francuskich w sposób wcale niedwuznaczny kazało mu milczeć. Dostojnik, chcąc jednak godnie zakończyć powitanie, rozkazał nie wypuszczać nas z koszar przez cały czas pobytu naszego w Archangielsku. Zakaz ten jednak już na drugi dzień przełamaliśmy, bez wielkiego oporu ze strony naszej najbliższej władzy, która co wieczora kazała nam asystować przy wyśpiewywaniu: „Boże caria chrani”.

Całe zajście Bayończyków z gubernatorem Archangielska opisał dokładnie powieściopisarz rosyjski Mikołaj Breszko-Breszkowski w Książce p. t. „Pazor Dinastji”, skąd dowiedziałem się, że carski dostojnik był zwykłym szpi-giem niemieckim, którego wkrótce po naszym wyjeździe z Archangielska aresztowano.

Siedmiodniowy pobyt w Archangielsku uprzytomnił z rozpaczliwą dokładnością nasze położenie. Byliśmy w rękach władzy wojskowej. Co zamierzała ona zrobić z nami — nie mieliśmy pojęcia. Zależność nasza, nieznajomość treści dni następ-

nych, zupełna niewiedza, czem właściwie jesteśmy dla tego, napół rozkładającego się olbrzyma, niby wojującego, było dla Bayończyków tragedją. Rozkaz wyjazdu do Wołogdy powitaliśmy z rezygnacją, zaczynającą dominować nad resztą uczuć zdławionych wieścią o Polsce, upokorzonych przez zapite, rosyjską wódką, zwierzę niemieckie, gubernatora Archangielska.

Towarowym pociągim w t. zw. „tiepluszce“ wyjechaliśmy z jakimś feldfeblem do Wołogdy. Na skraju tego nieszczęśliwego miasteczka, gdzie mróz zdawało się być jedynym mieszkańcem, spędziliśmy dwie doby.

Znowu rozkaz dalszej drogi.

Znowu kilkanaście godzin drogi w „tiepluszkach“ do Jarosławla. Cebulaste kopuły cerkiewne, obowiązkowy „letnij sad“, tłumy „praporszczik“ w z siostrami, aż do chorób wenerycznych miłosier-nemi, wreszcie tramwaje dały nam przedsmak kultury wielkiej Rosji i jakie takie pojęcie, że kraj ten znajduje się w stanie wojny,

O wojnie najwyraźniej przemawiało zbratanie się dwu płci: rosyjskiej — pięknej i austriackiej, wcale nie brzydkiej, jednakże zgodnie z przyjętem określeniem brzydszej, bo męskiej.

Po Archangielsku i Wołogdzie — Jarosławł wydałby się wielkiem i zgoła europejskiem miastem, gdyby nie wypadek w tramwaju z kapitanem armji rosyjskiej.

Przystrojony w czerwone kepi i ogniste portki (łechcące wzrok mieszczanek Jarosławla) francuskiego fantassina, jadąc tramwajem, byłem przedmiotem uwagi wszystkich pasażerów, między innymi i groźnie spoglądającego na mnie kapitana rosyjskiego.

— Ty kakoj plennyj? — zapytał mnie zadekowany wojak.

— Da plennyj! — odpowiedziałem kapitanowi z uśmiechem.

— Awetrijskij? — wojak nie był pewien, czy

właściwie jestem jeńcem austriackim, czy niemieckim.

— Awstrijskij! — odpowiedziałem, nie chcąc wogóle odpowiadać sprzymierzonemu cymbałowi.

— Giermanskij?

— Da giermanskij! — znów odrzuciłem z uśmiechem.

Odpowiedzi moje nietylko nie zadowolily kapitana, ale rozgniewaly go do tego stopnia, iż ryknął, jak opętany.

— Wstań, kagda gawarisz z ruskim oficerom!

Oczywiście nie wstałem. Mimowoli włożyłem rękę do kieszeni. Przez głowę przemknęła myśl: „A może by mu tak wywalić dwie małe z „piątki“ belgijskiej w łebek?”

Nastrój ogólny w tramwaju był zdecydowanie wrogi przeciwko moim czerwonym szarawarom, co czulem zupełnie wyraźnie pod czerwoną czapką. Wskazujący palec mej prawej ręki błędził dokoła zabezpiecznika nabitego rewolweru.

Wściekły kapitan zatrzymał tramwaj, zawołał „garadowowo“ i rozkazał:

— Posmotri u niewo bumagil

— Słuszajus wasze wysokobłagorodje! — odwalili stójkowy i zwrócił się do mnie — pokażi bumagil

Nie mając nic, prócz francuskiej książki woj-skowej, wetknąłem ją w rękę policjanta.

— Nikak proczest' nie magu, wasze wysokobłagorodie, widno po giermanski napisanol Podał mój dokument po dokładnem obejrzeniu go ze wszzech stron, kapitanowi policjant.

Oficer wziął książkę moją do ręki, długo ją badał, przewracał stronicę za stronicą, wreszcie wykrzyknął:

— Nieużeli wy Francuz?! z temi słowy pan kapitan rzucił mi się na szyję i zdaje się chciał już łzy ronić, gdym go delikatnie zatrzymał powiedzeniem.

— Jestem Polak, ochotnik z armji francuskiej.

Tramwaj ruszył w dalszą drogę i dowiózł mnie do ogrodu, znajdującego się w środku miasta. Była godzina szósta. O siódmej mieliśmy jechać dalej, wedle oświadczeń feldfebla — do Nowgorodu. Długa aleja „letniawo sada“ w głębi swej perspektywy otwierała się kwadratowym wylotem na Wołgę. Podczas mego spaceru podeszły do mnie dwie siostry miłosierdzia i zagadały po francusku, prosząc mnie do szpitala na obiad. Oczywiście, nie odmówiłem. Grochówka w Wołogdzie przeszła już w zupełne zapomnienie. W białym pokoju przy szpitalu, w towarzystwie niepospolicie uprzejmym „siestric“, spożyłem wiele dobrych, dawno nawet nie oglądanych rzeczy. Wytworne damy, jedna z miejscowej arystokracji, druga — żona pułkownika przyniosły po kolacji, z apteki szpitalnej, flakon ze spirytusem, który we troje bez najmniejszego trudu wykonaliśmy. Po wyczerpaniu tematów wojennych, damy z czerwonymi krzyżami na biustach, szeroko i ze znajomością rzeczy zaczęły omawiać różnicę stosunku i zachowania się ich rodaków względem kobiet i Francuzów, którzy przecież są tacy... subtelni! Nie przeczyłem. Była godzina ósma, gdy „siestrica“ z arystokracji zaczęła długą opowieść o sobie i Francuzie, który się w niej zakochał w Aix-les-Bains, tylko ona się go bała, bo był za piękny, więc do niczego nie doszło. Słuchając tego opowiadania, upewniony, że pociąg z kolegami już dawno odjechał, kreśliłem sobie w zropaczonych myślach straszne widoki. Dama gadała bez przerwy, od czasu do czasu głębokie westchnienie, dźwigające obfitość jej biustu, przerywało płynienie słów. Słuchałem, nic nie słysząc. W głowie wyskakiwały dwie myśli: Gdzie będę spał dzisiaj i co zrobię, gdzie pojedę? W kieszeni cichutko leżał, odbierając mi wszelką pewność siebie, jedyny wątył, rubel papierowy. Gdy dama skończyła opowiadanie swych minionych przeżyć, walk wewnętrznych i trwóg — wstałem, przeprosiłem, podziękowałem i wyszedłem. Na ulicy przed szpitalem było

już zupełnie pusto. Dokąd pójść, na lewo, czy na prawo, pytałem stopy moje, które nic nie potrafiły przedsięwziąć i wykazały zupełny brak inicjatywy. Lampa przed szpitalem rzucała półkrąg światła za którym było mroczno z obydwu stron nlicy. Przespać się nad Wołgą, czy iść na stację? — myślałem nie mogąc się zdecydować ani na jedno, ani na drugie. Wśród tych wahań robiłem sobie przykre wyrzuty: czemu właściwie nie zostałem pod opieką tych dwu wytwornych dam, które przecież nie pozwoliłyby mi spać na mokrej trawie wybrzeża.

Niezadowolenie z siebie przerwała mi jakaś dama, którą światło latarni ukazało oczom moim w niezwyklej urodzie. Gdy przeszła, wzrok mój nawet w ciemności nie mógł oderwać się od jej sylwety. Na przestrzeni dziesięciu kroków ode mnie — obejrzała się, Decyzja szybka, zarówno jak pewna zręczność działania, sprawiły, że po kilku minutach nieznajoma, bacznie mi się przyjrawszy podała swą dłoń do uścisku. Poszliśmy oczywiście do ogrodu, jeszcze, mimo późny czas, otwartego. Pani była zaprawdę bardzo urodziwa i miła nawet, gdyby nie propozycja pójścia do kinematografu.

Za co?!

Za tego ostatniego papierowego rubla? O nie, moja panil — pomyślałem, tłumacząc jej, że mam za ledwie pół godziny czasu do pociągu. Pani, jednym słowem, pełnem treściwego brzmienia, wyraziła swój żal z powodu mego odjazdu, poprosiła, bym napisał do „nieznajomej“ i odprowadziła do mostu, czy jakiegoś wiaduktu (dziś już nie pamiętam), skąd pokazała mi budynek stacyjny.

Nie namyślałem się tym razem długo i poszedłem na stację, gdzie stałem się znów przedmiotem ogólnej uwagi, rzecz prosta, z przyczyny czerwoności swego odzienia,

Nie wiedząc, co począć z sobą, odmierzałem dużymi krokami wszystkie sale, peron i inne miejsca, po których chadzali ludzie, każdy, właściwie prócz mnie, z jakimś określonym celem.

— Wy hrancuz? — nagle przerwało mi moje bezradne zamyslenie, pytanie jakiegoś „untier oficera“.

— Dal — odpowiedziałem bez namysłu.

Trzech, jak się później okazało, wielce dobrotliwych „kazancow“-podoficerów z krzyżami Jerzego, zaprosili mnie do jakiejś herbaciarni, gdzie przyjęli mnie możliwie najgodniej, a mianowicie: herbatą z konfiturami i bułką z kiełbasą. Po północy udałem się wraz z moimi towarzyszami którym oświadczyłem z góry, że nie mam pieniędzy, do Anny Wasiljewny, utrzymującej w pobliżu cerkwi coś w rodzaju tajnej herbaciarni, a właściwie wedle stanu faktycznego rzecz biorąc, zwykłego domu publicznego z dziewczętami i gramofonem.

Bacznie przyglądając się miejscowym zwyczajom i obyczajom, kilkakrotnie przypominałem sobie słowa siostry miłosierdzia o charakterze stosunku rosjan do kobiet.

Rozczulony gościnnością moich towarzyszy, zarówno, jak łaskami Anny Wasiljewny, zasnąłem w przepaści piernatów jej łóżka snem anioła stróża po powrocie z padołu płaczu na swoje niebieskie posłanie.

Przed południem wstałem wzmocniony na siłach i z wiarą w Opatrzność tyle dobrego świadectwa dającą mi o swoim istnieniu.

Po wymyciu się i śniadaniu, niby młody bóg, poszedłem na stację. Zamierzałem pojsć do naczelnika, opowiedzieć mu wszystkie moje przygody i zażądać odesłania do Nowgorodu. Nie widząc lepszej przyszłości, z jednej strony chciałem odnaleść kolegów, z drugiej dobrowolnie oddać się w niewolę, wolność moja bowiem wydawała mi się coraz straszniejszą. Z tem postanowieniem skierowałem swe kroki przez dużą poczekalnię, gdy wtém jakaś kilkunastoletnia dziewczynka zaprosiła mnie w imieniu swej matki na obiad.

Mile zdziwiony gościnnością mieszkańców Jarosławla, nie odmówiłem sobie tej ostatniej przy-

jemności zjedzenia, u jakiegoś majstra puszkarskiego zapewne, dobrego obiadu.

Wieczorem, po porozumieniu się z naczelnikiem stacji, odprowadzony przez całą rodzinę puszkarza, wsiadałem do wagonu pierwszej klasy, pociągu mającego mnie dowieść do Nowgorodu. Dobre samopoczucie moje na kilka minut przed odjazdem nadwyrężyła mi córeczka puszkarza, która znów w imieniu matki przyszła do wagonu zapytać mnie, czy nie potrzebuję pieniędzy.

— Oho, to trochę gorzej! — pomyślałem sobie, poczem podniosłem okno i by już nie widzieć dobrej rodziny puszkarza, wtulając się w róg przedziału, usiadłem na miękkim siedzeniu wagonu pierwszej klasy.

Rankiem dnia drugiego podróży mojej z Jarosławla przyjechałem do Nowgorodu. Na stacji dowiedziałem się, że koledzy moi nie przyjechali. Rozpacz i zupełne zwątpienie zagrodziły mi drogę ku wszelkiej nadziei na przyszłość.

W bufecie trzeciej klasy wypijałem herbatę za ostatnie dwadzieścia kopiejek, wzywając opatrność temi mniej więcej słowy.

— Jestem w Nowgorodzie, znajomej mi trochę z historii Rosji „drewniej stolicy“, nie mam pieniędzy i nadziei na nic, może byś łaskawie szanowna Opatrzności coś zupełnie niespodziewanego dla mnie wymyśliła. — Wezwanie moje snadź zbudziło Opatrzność, wnet bowiem, jako jej narzędzie zbliżył się do mnie, jakiś realista wysoki i dojrzały, mimo brak świadectwa dojrzałości, i zapytał po francusku, czy jestem Francuzem.

— Nie panie — Polakiem — odpowiedziałem — szukając w jego twarzy rozczarowania.

— Panie, ja też! — wykrzyknął zupełnie nie rozczarowany, lecz przeciwnie, mocno uradowany rodak

Po rozmowie na różne tematy, jakimiś tam okrężnemi drogami polskimi już spokrewnieni,

przeszliśmy przez wielki zajazd przed stację do herbaciarni.

Realista fundował skromnie, lecz serdecznie, ja zaś jadłem nieskromnie, lecz również serdecznie, ba nawet z całą serdecznością poprosiłem, go by mi kupił papierosów „Malina”. Kupił byczy chłop, z radością patrząc, jak w dymie tych papierosów nagłą i niespodziewaną śmiercią umierały, wtłaczające się przez okno roje komarów. Przy ośmio-szlankowej porcji herbaty przesiedzieliśmy z realistą przeszło trzy godziny.

O godzinie pierwszej po południu mignęły mi wśród ciemnego tłumu, czerwone kepi moich kolegów.

— Przyjechalil — krzyknąłem realście i wybiegłem na spotkanie brudnych i wychudłych Bayończyków.

— Co ty już tutaj? zdziwieni pytali mnie kolejno.

— Ba, ja aeroplanem!

— Nie bujaj, tylko powiedz, jak wyostałeś się z Jarosławla.

Opowiedziałem wszystko ze szczegółami, najdokładniej. Wszyscy zazdrościli mi przygód, wyrzucając sobie zupełnie niezrozumiałe posłuszeństwo w stosunku do feldfebla.

W Nowgorodzie zaczęły się określać przyszłe losy Bayończyków. Wszystkich wtłoczono do wojska. Siwy z czerwonym nosem i twarzą nabrzmiałą generał powitał nas bardzo czule i głośno, wykrzykując: „Zdarowo bratcy francuzkije wałontieri” na co, ku zgorszeniu wszystkich umundurowanych tubylców, odpowiedzieliśmy: „Zdarowo gienierał!” Po przywitaniu zapakowano wszystkich polaków do jednej rotы i przedstawiono młodemu porucznikowi t. zw. „rotnemu komandiru” młodzieńcowi, którego całą uwagę życiową pochłaniał aparat fotograficzny.

Była godzina piąta po poł, gdyśmy poszli do miejscowego ogrodu zadziwiać miejscowe piękności naszymi mundurami.

Niezliczone „gieroje praporszcziki“ wściekali się z zazdrości, tembardziej, że wśród Bayończyków było wielu bardzo urodziwych i jak to mówią do wszystkiego.

Nie chcąc szeroko opisywać życia zabłąkanych do Nowgorodu Polaków, pragnę nadmienić, że 22-go października 1915, roku dzięki różnym łaskawym okolicznościom, zdołałem się wydostać z armji rosyjskiej i osiąść w Piotrogradzie, a raczej w Petersburgu. Większa ilość mych kolegów wstąpiła do szkół oficerskich.

Pierwsza i druga rewolucja rosyjska porozpędzała po całym obszarze wielkiej Rosji niedobitków z pod Arrasu.

W roku 1919, a później 1920, podczas inwazji bolszewickiej, prawie wszyscy Bayończycy spotkali się w kraju w szeregach armji własnej.

Wszyscy, z wyjątkiem kolegi Hnizdila i Biernackiego, którzy zginęli w zawierusze rewolucyjnej, powrócili z Rosji do kraju, zarówno, jak wielu pozostałych we Francji, którzy przyjechali z armją gen. Hallera do Polski.

Wrócili do kraju: Mieczysław Rodzyński, Jerzy Kijewski, Jerzy Jodko-Narkiewicz, Jan Sobański, Jan Koziorowski, Władysław Michalski, Czesław Filipowicz, Aleksander Świrski, Norbert Lewald Jezierski, Apolinary Radliński, Włodzimierz Szaniawski, Tadeusz Szaniawski, Tadeusz Wielowieyski, Antoni Nowak, Rudolf Waligóra, Władysław Dąbrowski, Julian Joel, Henryk Komorowski, Edmund Łaskowski, Józef Lumbe, Józef Piechociński, Jakób Błaszczyński, Jerzy Szurig, Szczepan Zbikowski, Daniel Bulkiewicz, Sowiński, Jan Żyznowski, dr. Hufnagiel i dr. Jan Garbowski.

Z pozostałych przy życiu wyżej wymienionych żołnierzy I-ej wojskowej formacji polskiej we Francji śmiercią walecznych zginął dn. 12 lipca 1920 roku pod Staro-Konstantynowem major Mieczysław Rodzyński. Nazwisko jednego z pierwszych Bayończyków.

niestrudzonego i niezwyklej odwagi żołnierza zasługuje na dłuższą i baczniejszą uwagę, i wieczną pamięć. Od zwykłego szeregowca Rodzyński dzięki swym zaletom żołnierskim zdobył sobie w armji francuskiej stopień kapitana Żuawów.

Siedm razy ranny pod Verdunem, przez cały czas wojny znał i widział tylko pole walki, albo łóżko szpitalne. Odznaczony wszystkimi najwyższymi krzyżami i medalami francuskimi, ranny ogółem jedenaście razy, już w pierwszych tygodniach po powrocie do kraju, z dwudziestoma pięcioma żołnierzami zdobył Beresteczko w walce z ukraińcami. Podczas odwrotu z pod Kijowa Rodzyński jako dowódca pułku, wysłał pułk naprzód, zostając z kilkunastoma tylko żołnierzami na tyłach, celem ochrony wojsk odступаłych. Napadnięty nocą przez konnicę Budiennego, broniąc się jak lew, zabijając własnoręcznie trzech kozaków, został wreszcie zarąbany i porąbany przez huliganów bolszewickich na kawałki. Do imion poległych na ziemi francuskiej bohaterów polskich, nazwisko Rodzyńskiego należy dołączyć jako jedno z najpromienniejszych, najczystszych i niezapomnianych.

Czas zatarł już w wspomnieniach wyrazistość odległych przeżyć, jednak dziś jeszcze, gdy się zejdziemy, powtarzamy sobie zasłyszane gdzieś na froncie słowa sierżanta Żuawów:

„Les zouaves marchent bien, les Senegales pas mal, mais tout ça ne vaut pas la Légion Polonaise”

Wówczas poprzez ciężki żal tych, którzy poglegli radośnie z wielkiej miłości dla Ojczyzny, wyszarpuje się z serca дума z umarłych i niezachwiana wiara w żywych.

Bayończycy to krwawy strzęp wielkiego sztandaru Polski, która ze krwi i na purpurze własnej krwi poczęła wolność swą.



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

26732/1



11-026732-000-0